ROK I. Nr. 37. 6 października 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

nakład: 30.000 egzemplarzy

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



„Chcę umrzeć jak człowiek wolny"...
(do noweli na str. 8)

Mac Laglen, fot. Fox.



Święto Ameryki i Polski



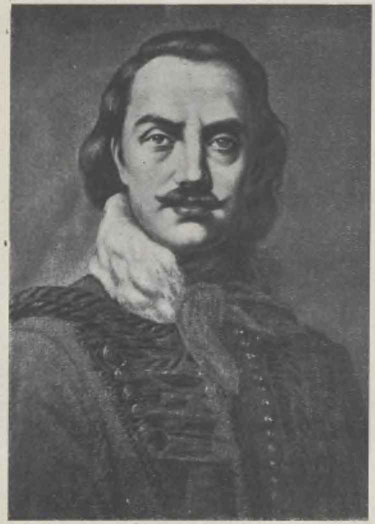
„Rocznica Kazimierza Pułaskiego, bohatera, który walczył za niepodległość Stanów Zjednoczonych — niechaj się stanie świętem całego kraju, niechaj w dniu tym wielbią pokolenia imię tego, co przykładem swoim zagrzewał tysiące do walki za wolność!". Orędzie prezydenta Hoovera do narodu, wydane przed rocznicą naszego bohatera jest jednem z licznych świadectw, które Amerykanie nam składali za stałość naszych przekonań. A przewodziło im przedewszystkiem — umiłowanie wolności!

Mimowolne popełnia się anachronizmy, osnuwając myślą postać Kazimierza Pułaskiego. Przenosi go się łatwo z jego czasów do epoki Zawiszów, do Żółkiewskich — albo widzi go się wśród natchnionych szaleńców mickiewiczowskiego legjonu. Istnieje powinowactwo duchowego bohaterstwa; ono to sprawia, że przy ocenie bohaterów wolno lekceważyć przestrzeń i czas. Pułaski — to epigon rycerstwa; ma w sobie coś z bezwzględnej i niepraktycznej szlachetności błędnych rycerzy, nawet — podobno nawpół wyznaną miłość do damy serca, pięknej księżny kurlandzkiej. Jednocześnie Pułaski to prekursor romantyzmu. W romantyzm— bo czemże jest on sam, jak nie romantyzmem wcielonym — ubiera go cudna legenda, czystym, przeczystym szlakiem ciągnąca się za nim od Baru przez Częstochowę i Wawel aż pod Savannach. Jest to romantyzm najwyższej próby, romantyzm czynu, nie słowa. Niema w nim nic z błądzeń duchowych Child-Harolda, niema nic z kaprysów bajronizmu. Nie przypadek zrządził, że Słowacki, mając taki temat do obrania, szuka jednak bohatera poematu dalej i znajduje go w półlegendarnym, mgłami erotyki owianym Benyovszky'm. Pułaski jest jaśniejszy w rysunku, bardziej z jednej bryły; temat to raczej dla epika lub rzeźbiarza Dzisiaj, w zbłękitnieniu lat, rysuje się jasno, jak posąg. Sodalis — nie zna wahań, nie szuka „z królami aljansów"; jest sługą Marji, ojczyzny i swojej kawalerskiej sławy. Wywołaniec z Polski, banita za próbę uwiezienia króla Stanisława, przed śmiercią zaznacza, że zmył ciężką dla szlachcica plamę banicji, i tem dowodzi, jak bliską jego myślom do końca była ziemia rodzinna, pogrążona w nocy obcej niewoli.

Znaczenie historyczne tej postaci jest również doniosłe i wielkie. Pułaski wskazał i utorował drogę na tamtej półkuli Kościuszce, a nie wrócił, on, opromieniony zamorską sławą, bo przedtem trupa jego pochłonęły fale oceanu. Któż jak nie Pułaski, patronuje duchowo legjonom włoskim i śmiałej myśli Dąbrowskiego? — Mówiono o nim, jak o tylu Polakach po nim: „kondotjer wolności". Nieprawda; kondotjerem wolności był Garibaldi. Pułaski — to żołnierz wierny swej ojczyzny unoszący za morza ostatni błysk jej wolności na ostrzu pałasza.

Próbują zarzucić Pułaskiemu, jak i barszczanom, którym po ojcu przewodził, że grzązł w zacofaniu, broniąc strzępów „złotej wolności szlacheckiej", że był wrogiem postępu i silnej władzy wykonawczej w kraju. Nie starajmy się go bronić, ale z zarzutów tych wyciągnijmy logiczne wnioski. Doprowadzą nas one do stwierdzenia, że obóz przeciwny składał się z ludzi, lepiej pojmujących interes, szczęście i przyszłość Polski. Co za nonsens! Z posiewu barskiego są wszystkie następne walki o niepodległość, o prawo narodu do samostanowienia o sobie. Z posiewu tamtych — pakty z wrogiem, służalczość, sprzedajność, Targowica i haniebna klamra przedrozbiorowych dziejów Polski — sejm grodzieński. Trzeba było dopiero ofiary krwi w insurekcji kościuszkowskiej, aby tę plamę zmazać.

Nie kochali się Pułascy i barszczanie w królu Stanisławie; poprawdzie — nie było w kim. Szczęście to, że nie cała Polska ówczesna składała się z *petit-maître'ów*, lalusiów i fircyków, bo większy wstydby nami targał przez tyle lat niewoli, Strzępy „złotej wolności" były jednak mimo wszystko strzępami chorągwi narodowej, przez wiele wieków wznoszonej nad narodem, górnie, rękami szlachty. Obrońcy praw ucieleśnionych w ustroju Rzeczypospolitej, siłą swej miłości ojczyzny wiedzieli, że nie zbawią jej wpływy zewnętrzne. Jakoż niebawem te wpływy zwaliły ciężki głaz na jej grób. Konfederacja barska była ostatnią epopeją szlachecką; po niej, po latach hańby, odrodzenie poczęło iść innemi, nowemi drogami. Inne polskie ręce zaczęły sięgać po karabele, wypadające z rąk szlachty. Ale przeszło wieku było potrzeba — a proces ten właściwie i dziś jeszcze nie jest zakończony — aby te poczynania zyskały znaczenie rzeczywiste.



Kazimierz Pułaski

Tak czy inaczej na tle tych stosunków ówczesnych, czy — jak powiedzieliśmy na wstępie — w oderwaniu od nich i w integralności własnej, sylweta Kazimierza Pułaskiego występuje jasno, jako obraz bezwzględnego bojownika o wolność narodową. Że padł nie na polskiej ziemi i nie bezpośrednio za polską sprawę — to postaci rzeczy nie zmienia. Umarł, jako przedstawiciel siły czynnej i zbrojnej swego narodu, siły nigdy nie rozbrojonej, zawsze gotowej do walki, byle zjawiła się choć najdrobniejsza nić możliwości. Zadzierżgnął węzeł między powstającą wielką demokracją Stanów Zjednoczonych a Polską, węzeł, który ukrzepić stało się udziałem Kościuszki, a którego ostatecznem zacieśnieniem miał zostać po latach stu pięćdziesięciu paragraf trzynasty tez Wilsona.

Jego pogrzeb na morzu był momentem, pełnym głębokiej symboliki romantycznej, wstrząsającej dziś jeszcze po upływie półtora wieku. Pierwszy bojownik niepodległości nie mógł spocząć w zwykłej, dusznej mogile. Grobem stały mu się głębie morskie, sklepieniem — bezmiary fal, a pieśnią żałobną — szumy oceanu.

Antoni Bogusławski.



Arcybiskup Paryża, kardynał Dubois, znany francuski polityk kleru katolickiego zmarł w tych dniach.



Chodzą słuchy, że książe Norfolku marszałek Anglji, ma wejść w związki małżeńskie z księżniczką Hiszpanji.



W tych dniach, w Berlinie, została zawarta przyjaźń pomiędzy Wielkobrytanją i Niemcami. Ugodę podpisali: lord Reading ze strony angielskiej i Cuno ze strony Rzeszy.



Naczelny rabin Budapesztu, Koppel - Reich, członek rodu panującego na Węgrzech zmarł w wieku 92 lat.



W wieku 64 lat, zmarł w tych dniach pod Rygą, największy współczesny łotewski poeta Rainis-Pleckschan



Znakomici lotnicy francuscy, Coste i Bellonte wylecieli przed paroma dniami z lotniska w Bourget w kierunku Władywostoku. W chwili, kiedy to piszemy — niema jeszcze wiadomości o locie pilotów



Ewakuacja Nadrenji trwa w dalszym ciągu. Pierwszemi oddziami, które powróciły do kraju były belgijskie. Po nich wyruszyli Anglicy. Ilustracja nasza przedstawia brytyjskich „Tommy", wsiadających na okręt wraz z żonami i dziećmi.



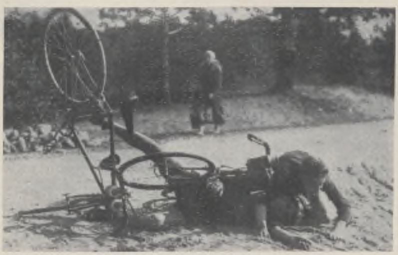
Niezwykła fotografja, wykonana w kościele Notre Dame des Lorettes w Paryżu podczas obrzędu zaślubin znanego komika Bicot. Pomimo powagi chwili — artysta zachowuje się jakgdyby był na scenie.



Dowiadujemy się, że argentyński generalisimus, Diaz, który dłuższy czas przebywał w Niemczech odwiedzi wkrótce naszą stolicę.



Artyści scen francuskich znakomicie się bawili, bawiąc jednocześnie licznie zgromadzoną publiczność na dorocznem święcie „Sportowca", w którem wszyscy, bez względu na warunki fizyczne, biorą udział. Chevalier jako starter...



Fotografowi naszemu, Walterowi udało się uchwycić wypadek, który miał miejsce podczas biegu kolarskiego na dystansie 25 km. o nagrodę „Stadjonu".



Do Warszawy przybyła przed paroma dniami wycieczka węgierska, która skorzystała z ostatnich dni trwania P. W. K. i zapoznała się z imponującym dorobkiem naszego postępu.

JERZY-MARJUSZ TAYLOR.

Wąż z Mahutpali

Cała ludność Mahutpali, niewielkiej wioski indyjskiej, znajdującej się w obrębie księstwa Larunpore, które należy do Birmy brytyjskiej, przez czas dłuższy żyła w stanie niebywałego przygnębienia. Oto największe, najdorodniejsze sztuki bydła co noc znikały tajemniczo z zagród wieśniaczych i zrozpaczeni właściciele nie mogli nigdzie spostrzec nawet śladów, któro przywiodłyby ich do odnalezienia cennej zguby. Mahutpala leży na skraju wielkiego dziewiczego lasu, początkowo więc poszkodowani wieśniacy sądzili, że sprawcą ich nieszczęścia jest jakiś rozzuchwalony tygrys, gdyż w dżungli aż roi się od tych pręgowanych drapieżników. Rozrzucono więc niezwłocznie kawały zatrutej padliny i pokopano wielkie doły, a uzbrojeni w ostre włócznie dozorcy od zmroku aż do świtu pilnie obchodzili całą wieś.

Nic jednak nie pomogło. Bydło ginęło jak wprzódy, a chciwego krwi łupieżcy nigdy nie udało się przyłapać na gorącym uczynku. Był niewidzialny i nieuchwytny.

Strapieni wieśniacy zwrócili się wówczas z prośbą o radę do pewnego biegłego w nauce tajemnej kapłana świątyni Wisznu. Chytry bramin jednak, zebrawszy wprzódy od swych parafian szczodrą daninę, oświadczył ze smutkiem, że nic tu się zrobić narazie nie da, gdyż bydło porywa zmarły niedawno książę Scharumpore, który za rozpustny tryb życia skazany został przez bogów na wałęsanie się po śmierci w postaci krwiożerczego upiora. Odmienić jego losy mogą tylko długotrwałe umartwiania i modły mieszkańców wioski. Potrzeba na to oczywiście czasu i nowych ofiar dla świątyni.

Zabobonni Hindusi ze łzami w oczach podziękowali kapłanowi za mądrą radę i rozpoczęli niezwłocznie ścisły post, aby przebłagać bogów rozgniewanych na ich zmarłego władcę. Znalazł się jednakże między nimi pewien niedowiarek, który pościć nie chciał i wyśmiewał się z łatwowierności swych ziomków. Wesoły ten Hindus był pomocnikiem wójta wioski, a zwał się Ganesza. Twierdził on uporczywie, że duch zmarłego maharadży Larunpore nic nie wie o rabowaniu bydła. Sprawcą szkód był jego zdaniem olbrzymi wąż, który co wieczór wypełzał z lasu i gospodarował w oborach Mahutpali niby we własnej spiżarni. Ganesza widział go własnemi oczami.

Ale Ganeszy nie wierzono, gdyż wiadomo było powszechnie, że lubi on upijać się mocnym arakiem angielskim. Opowieść musiała być zmyślona. Wójt wioski więc, na życzenie bramina zgromił Ganeszę surowo i wydalił go ze służby.

Lecz przecież okazało się niebawem, że Ganesza mówił prawdę. Pewnego ranka w jednym z wilczych dołów został znaleziony olbrzymi boa-dusiciel. Dwaj mieszkańcy Mahutpali, którzy pierwsi spostrzegli potwora, zawiadomili niezwłocznie o swem odkryciu bramina. Ten zaś zkolei wezwał pomocy kapitana Cook'a, dymisjonowanego oficera angielskiego, który mieszkał niedaleko w pięknym bungalowie leśnym.

Kapitan Cook jako zawołany myśliwy nie zwlekał ani chwili i pobiegł zaraz na miejsce wypadku z nabitym winchesterem w ręce. Ugodzony celną kulą wąż runął nieżywy, poczem wypatroszono go niezwłocznie, a operacja ta dała zdumiewające wyniki, gdyż okazało się, że żołądek potwora zawierał w postaci rogów, racic i kopyt resztki dziesięciu krów i dwóch koni, z których jeden zaledwie nawpół był dopiero przetrawiony. Na zakończenie zaś zmierzono ciało potwora. Długość jego wynosiła trzydzieści i pół metra.

Ganesza oczywiście triumfował, gdyż przywrócono mu dawną godność i napojono dobrym arakiem. Zeznał on przy tej sposobności, że w lesie takie węże trafiają się bardzo często. A nie wyrządzają ludziom większych szkód dlatego, że dżungla obfituje w jelenie, kozły i inne zwierzęta dość wielkie, aby mogły zaspokoić głód tych potworów.

Tak mniej więcej brzmią „wężowe" opowieści, które z pewnemi zmianami geograficznemi, bo rzecz niekiedy nie dzieje się w Indjach lecz w Ameryce Południowej, ukazują się od czasu do czasu w naszych dziennikach. Ciekawe historyjki. Owszem. Tylko że niema w nich niestety ani słowa prawdy.

Trzydzieści i pół metra! Proszę sobie wyobrazić takiego potwora. Toż to długość równająca się wysokości siedmiopiętrowej kamienicy. A grubość ciała również musiałaby być odpowiednio poważna. Kto wie nawet czy taki wąż zdołałby się wśliznąć do otworu naszego z mozołem wygrzebywanego w piaskach stołecznego podglebia tunelu kolejowego.

Wielkie węże-dusiciele istnieją we wszystkich gorących częściach obu półkuli naszej ziemi. Ameryka Południowa więc ma swoje anakondy, żyjące nad brzegami wielkich rzek, w dżunglach



Śmiercionośna kobra upaja się dźwiękami fletu. (Fot. Ufa)

Afryki zaś i Azji czekają na zdobycz żarłoczne pytony. Są to istotnie węże niemałe, długość ich jednak nie przekracza siedmiu do ośmiu metrów. I nie może być mowy oczywiście, aby który z nich odważył się na upolowanie konia, krowy czy jelenia. Ba! Większej gazeli nawet nie potrafiłby przełknąć, gdyż bokiem wylazłyby mu jej rogi. Mniejsze jednak zwierzęta padają ofiarą żarłoczności pytona czy węża boa, anakonda zaś, jako mieszkanka brzegów rzek, chętnie poluje na ryby i ptactwo błotne, które zręcznie podkradłszy się, chwyta znienacka i topi pogrążając w wodzie.

A przytem nigdy te węże nie polują w nocy. Dzień bowiem jest jedyną porą, kiedy budzi się ich żywotność. Chłód nocy zaś wprawia je w stan odrętwienia, z którego wychodzą wtedy dopiero, gdy ciało ich rozgrzeją promienie słoneczne.

Dużo rzeczy piszą sobie ludzie o wężach. — Było to w Indjach — zaczyna się zwykle taka bajeczka. No i każdy wie, że być musiało, bo to bardzo daleko. W krajach zamorskich zawsze przecież dzieją się rozmaite cuda.

Ale pocóż mamy zapędzać się aż pod Benares czy Kalkuttę. Nasze poczciwe zaskrońce, żyjące wpobliżu rzek lub stawów również często służą za temat do strasznych opowieści, przeważnie uchodząc za jadowite żmije. Za to też posądzenie tylko, za przestrach, jaki sprawia wieśniakowi widok szybko przemykającego się wśród trawy długiego ciała, traci zaskroniec zwykle życie, przetrącony biczyskiem lub zwykłym prętem, którego nawet niezbyt silne uderzenie łamie mu kręgi stosu pacierzowego.

A szkoda! Przecież wąż ten o grzbiecie barwy oliwkowej, od spodu białoczarny jak szachownica, na głowie zaś posiadający dwie plamy jasno żółte, niekiedy pomarańczowe, jest prawdziwą ozdobą miejscowości, w której żyje. Więcej nawet. Jest jej właściwością nieodłączną. Obecność tego węża gdzieś w zapuszczonym starym parku lub na zarośniętym żółtemi irysami brzegu jeziora, wydaje się zjawiskiem równie naturalnem, jak sarny w lesie czy kuropatwy wśród łanów dojrzewającego zboża.

Wąż ten lubi wygrzewać się w słońcu. Wyciąga się wówczas jak długi lub częściej zwija w kółko i leży całemi godzinami, nieruchomy, trudny do spostrzeżenia wśród podobnych doń z barwy traw i chwastów. Około południa przychodzi mu zazwyczaj chęć ugaszenia pragnienia. Wówczas jasnozielona żywa wstęga falistym ruchem spełza z pochylni wzgórza. Zatrzyma się nad samym brzegiem wody, podnosi zgrabną główkę, rozejrzy czujnie dokoła, poczem jakby nie dowierzając wzrokowi, wysuwa kilka razy czarny rozdwojony języczek, którym można namacać przeszkodę. Po takich przygotowaniach dopiero zaczyna się wchłanianie wody. Czynność owa, to cały ceremonjał i kończy się nieprędko.

Bieda zaś małej rybce, która niebaczna na grożące niebezpieczeństwo, ośmieli się wówczas przepłynąć w pobliżu. Zaskroniec niezwłocznie pogrąży się cały w wodzie, aby pochwycić ulubioną zdobycz. Teraz rozpoczyna się tragedja. Srebrnołuska ofiara ucieka rozpaczliwie miotając się to w tę, to w ową stronę, a za nią w błyskawicznych skrętach swego wężowego ciała mknie zwinny zaskroniec. Godna uwagi przytem jest jego zawziętość. Podczas ścigania zdobyczy może napotkać całe stado innych rybek, które pierzchną na widok odwiecznego wroga. On jednak swemi nieruchomemi oczami widzi tę tylko, która miała nieszczęście zwrócić na siebie jego uwagę w chwili, gdy leżąc na brzegu z roskoszą gasił pragnienie. Jeszcze jeden skręt wężowego ciała, jeszcze jedno napięcie wszystkich mięśni i tragedja. Zaskroniec wypełza na brzeg i tu zaczyna pożerać swą ofiarę, a bierze ją zawsze od głowy, gdyż inaczej przeszkadzałyby mu w połykaniu łuski ryby.

Żaby jednak są dlań jeszcze większym przysmakiem, które również tylko żywcem pochłania. Lubi je bardzo i należy przypuszczać, że czcigodni kapłani bogów dawnej Litwy — dostojni wajdeloci, musieli mieć w swoim czasie pracę nielada, aby mu nałowić dużo tych zwinnie skaczących stworzeń. Można sobie wyobrazić, jak uganiali się za niemi ci poważni mężowie podkasując swe białe szaty i poprawiając co chwila dębowe wieńce, zdobiące ich zroszone potem czoła.

Bo zaskroniec właśnie był owym świętym wężem, którego czcili praojcowie Waldemarasa. Zaskrońce to przecież pełzały w niezliczonych ilościach po glinianych polepach chramów władcy gromów Perkuna czy też Bezlei, bogini zmierzchu. A nie brakowało ich również w zwykłych chatach. Zaskroniec był pożądanym gościem w każdem domostwie, bo w jego obecności nie odważyły się tam wtargnąć złośliwe djabły — velnasy, których bał się bardzo zabobonny Litwin.

Pełzały więc zaskrońce swobodnie po wszystkich chatach litewskich w ciągu wielu stuleci. Nic dziwnego też, że spoufaliły się z ludźmi bez miary. Kronikarze owych czasów ze zdumieniem opowiadają, że widzieli jak węże pospołu z dziećmi gospodarzy piły mleko z jednej miski.

Kres tej idylli położył król Jagiełło. Świątynie zburzono, wajdeloci poszli do lasów na dożywocie z żołędzi i surowych grzybów, a węże powybijano. I uczyniono to tak skrzętnie, że dziś na ziemiach Wileńszczyzny lub Grodzieńszczyzny zaskrońce są wprost rzadkością.

Stary przesąd wyniósł je na wysokość ołtarzy pogańskich, nowy zaś strącił w otchłań zapomnienia, obarczając strasznem oszczerstwem, bo zrównał ze żmijami. I dziś chłop litewski, spotkawszy zaskrońca, zabija go niezwłocznie w przekonaniu, że ma przed sobą jadowitego gada.

Ale apoteza nie skończyła się jeszcze. Do dziś dnia jest przecież zaskroniec bohaterem legendy i zajmuje pierwsze miejsce w panteonie cudownych stworzeń w poezji ludowej.

Dawna baśń germańska mówi o królu wężów, co panuje gdzieś w głębi tajemniczego podziemia. Ma ten król złotą koronę na głowie i mnogie skarby z drogich kamieni, pereł i złota, które ze wszech stron świata znoszą mu jego podwładni. Król-wąż strzeże tych kosztowności pod zwojami swego olbrzymiego ciała i wsparłszy na nich ukoronowaną głowę, przyjmuje czołobitne hołdy od wszelkich gadów, co przypełzając tutaj, tworzą wokoło tronu swego władcy straszne kłębowisko.

Kto odkryje siedzibę króla węży, ten zdobędzie szczęście nielada. Nietylko bowiem stanie się władcą nieprzebranych skarbów, ale posiądzie jednocześnie mądrość największą. Bo król wężów to monarcha nielada. Wie wszystko, co dzieje się na ziemi. Znoszą mu te wieści jego podwładni. Do nie-

go więc można zapewne zastosować strofy pięknego wiersza Iłłakowiczówny:

„On do piersi owe węże przytula,
on do wężów swych przypada twarzą
i wciąż słucha i wciąż pilnie słucha,
co mu świszczą i syczą do ucha".

Podanie germańskie jest piękne, a tłomaczy się łatwo. Żółte plamy na głowie zaskrońca przekształciły się w koronę królewską. Stąd powstał władca wężowy. A owe kłębowisko fantastyczne? Ależ łatwo je spotkać w okolicach, gdzie zaskrońce są pospolite. Wraz z ciepłem wiosny wszakże nadchodzi dla nich pora godowa. Z wilgotnych nor, z dziupli starodrzew, z niezliczonych zakamarków leśnych, wywabia je na powierzchnię ziemi potężny zew miłości. Po kilkanaście wężów czasem tworzy jeden wijący się, najeżony żó.emi łbami, syczący zwój. A zabobonny wieśniak, ujrzawszy takie straszne dlań rojowisko, ze zgrozy bierze nogi za pas i umyka, aby go nie pokąsały „jadowite gadziny".

Tymczasem niema węża łagodniejszego niż ten nieszkodliwy zaskroniec. Nikogo nie ukąsi nawet jeśli go się go schwyta znienacka. Wije się tylko wówczas i syczy przenikliwie, rozszerzając swe szczęki, co powiększa pozornie jego głowę, nadając jej wygląd niezmiernie groźny.

Równie nieszkodliwe są długie połozy, o cienkiem biczowatem ciele, żyjące na naszem Podolu i elegancko ubarwione miedzianki oraz rzadko spotykane w Polsce węże Eskulapa, te same, które hodowali przy swych świątyniach rzymscy kapłani-lekarze.

A choć żaden z tych wężów nie osiąga wielkich rozmiarów, to przecież i o nich krążą pod tym względem gadki zgoła fantastyczne. Nie takie jednak jak o owym wężu z Mahutpali, co przewija się od czasu do czasu po łamach naszych dzienników wraz z towarzyszącym mu nieodmiennie dymisjonowanym kapitanem angielskim.

Czas już chyba, by obydwaj dostali dymisję i przyzwoitą emeryturę. Niech używają robaczki. Prawda?

Czy wiecie że...

...ostatnio postanowiono urządzić w Anglji wystawę, któraby miała naocznie przekonać Anglików o ofiarnej pracy króla. Z danych zebranych dotychczas wynika, że król odbył w ciągu wojny 1500 narad z jeneralicją, 451 razy przeprowadził inspekcje, ściśle stosował się do zarządzeń oszczędnościowych i przepisów, dotyczących racji wojennych żywnościowych, przebył dziesiątki tysięcy kilometrów celem przeprowadzenia pewnych ważnych postanowień, wydał cały szereg zbawiennych zarządzeń... jednem słowem zdziałał więcej, aniżeli leżało to w mocy przeciętnego człowieka.

*

...wg. danych statystycznych, zebranych w New-Jorku, dzielnica miljonerów wydaje rocznie 285 miljonów dolarów na swe potrzeby życiowe. Wypada z tego na same kosmetyki osiem, na polowania, teatr, słodycze siedemnaście, cele dobroczynne pięć miljonów i t. d.

*

...760 miljonów lirów przeznaczyło włoskie ministerstwo komunikacji na budowę dróg we Włoszech w ciągu drugiego półrocza b. r. i pierwszego półrocza roku 1930.

*

...przeprowadzona kontrola ilości radjosłuchaczów w Rosji sowieckiej dała następujące nieoczekiwane wyniki: na jednego radjosłuchacza uczciwie uiszczającego abonament przypada w Z. S. S. R. — trzech radjopajęczarzy.

*

...w Londynie założony został klub „Ligi przeciw cierpieniom miłosnym". Zadaniem tego towarzystwa jest przeciwdziałać, jeśli któremuś z członków zdarzy się jakiś smutek miłosny.

*

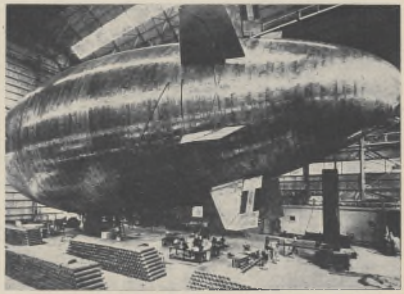
...ekspedycja naukowa uniwersytetu chicagowskiego, badająca tereny nad Tygrysem, w pobliżu miejscowości Khorsabad dokonała doniosłego odkrycia archeologicznego, odkopując ruiny pałaców dwuch władców assyryjskich, Sargona II i Sennaheryka. Wspaniałe budowle pochodzą z VI i VII wieku przed Chrystusem, czyli z przed 2600 lat.

*

...na terytorjum państwa papieskiego żona żandarma watykańskiego powiła dziecko. Są to już drugie urodziny po podpisaniu traktatu laterańskiego. W ciągu tego czasu w państwie papieskiem nie zanotowano ani jednego zgonu, tak, że na terytorjum papieskiem, jak i w całej Italji liczba urodzin przewyższa liczbę zgonów.

Metalowy sterowiec

Wielkie zaciekawienie wywołały w świecie lotniczym dokonane w Detroit, w Ameryce próby nowego sterowca, zbudowanego całkowicie z metalu przez zakłady „Airerft Development Corporation" w Detroit na zlecenie i według rysunków amerykańskiego departamentu marynarki.



Nowozbudowany metalowy sterowiec amerykański Z. M. C. 2. (Wide World)

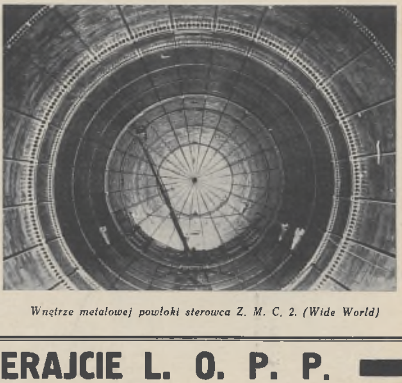
Przypuszczam, że próby te wypadną niepomyślnie tak ze względu na materjał użyty do budowy tego statku powietrznego, jakoteż na kształty jego, odbiegające daleko od znanego już powszechnie typu zeppelinów. Tymczasem „ZMC-2" — jak ochrzczono ten nowy model — nietylko odbył szczęśliwie wszystkie próby, ale nadto przeleciał pięknym lotem do Cleveland i nazad do Detroit, wytrzymując znacznie lepiej uderzenia wiatru, niż większe od niego i trudniejsze do kierowania zeppeliny.

To też dzisiaj, po tych próbach, niedowierzanie ustąpiło miejsca zachwytowi i amerykanie pokładają w nowym swym sterowcu metalowym wielkie nadzieje.

„Kto wie — woła jeden z dzienników za oceanem czy ten nowy sterowiec nie wytrzymałby nawet takiej nawałnicy, jak ta, którą przed kilku laty złamała we dwoje sterowiec „Shenandoohi"; kto wie czy nie przyczyni się znacznie do zmiany rysunku i budowy statków powietrznych!"

„ZMC-2" różni się od zeppelinów pod trzema względami:

Przedewszystkiem co do powłoki, otaczającej sztywne jego rusztowanie wewnętrzne. Dotychczas powłokę taką sporządzano z tkaniny tak szczelnej, że nie przepuszczała ani wody, ani też gazów. Powłokę zaś nowego sterowca tworzą cienkie pasma „*alcladu*", będącego stopem miedzi i glinu, prawie dorównywującym mocą stali, choć znacznie od stali lżejszym. Pasma te zaszyte są bardzo cienkim drutem za pomocą specjalnie zbudowanej w tym celu „maszyny do szycia". Powłoka ta jest nietylko najzupełniej nieprzepuszczalna, ale także niepalna, czego nie można powiedzieć o powłokach zeppelinów, ponadto zaś dość lekka, aby nie przeszkadzać unoszeniu się sterowca w powietrzu, do czego użyto 200.000 stóp sześciennych gazu niepalnego, helu, którego wytwórnie na wielką skalę posiadają dzisiaj tylko Stany Zjednoczone.



Wnętrze metalowej powłoki sterowca Z. M. C. 2. (Wide World)

Drugą, wielką różnicę stanowi zupełnie nowy, dotychczas nigdzie nie stosowany, system sterów. Tak stery wysokości, jakoteż te, które służą do obrotów w obie strony, nie znajdują się na końcu sterowca, lecz, pod postacią ośmiu pletw, wystających z tułowia — w odległości około trzydziestu stóp od jego końca.

Trzecia wreszcie różnica pomiędzy tym sterowcem a zeppelinowskiemi sterowcami sztywnemi może wprawdzie — zdaniem rzeczoznawców — przyczynić się do zmniejszenia jego szybkości przy dobrym stosunkowo stanie atmosfery, ale zapewnia mu natomiast większą wytrzymałość przy złym. Mianowicie, gdy w zeppelinach długość ich jest większa od ośmiu do dwunastu razy od ich średnicy, w amerykańskim sterowcu metalowym stosunek ten wynosi nawet nie całe trzy do jednego, gdyż „ZMC-2" mierzy 149 stóp 5 cali długości, a 52 stopy 8 cali średnicy.

Dodać jeszcze należy, że sterowiec zaopatrzony jest w dwa silniki Wrighta, typu „Whirlivind".

Tak przedstawia się nowy model sterowca amerykańskiego. Czy ziści nadzieje w nim pokładane, niedaleka przyszłość wykaże.

S. B.

Co słychać na świecie?

Gra dyplomatyczna dla zwykłych śmiertelników zda się między innemi polegać na tem, że co jednego dnia jest przedmiotem zaciekłej walki i bezwzględnego oporu, nazajutrz jest łagodnem i prostem do rozwiązania zagadnieniem, na którego rozstrzygnięcie wszyscy się odrazu i nader uprzejmie godzą. Laik kiwa głową z podziwem i nic nie rozumie, bo zapomina, że między jednym dniem i drugim upłynęła długa, pracowita noc, niosąca pono radę, jak chcą Francuzi.

Takiemi łatwemi i prostemi okazały się do rozstrzygnięcia na X Zgromadzeniu Ligi Narodów sprawy o których przedtem wogóle najlepiej było wcale nie mówić. Anglja, opierająca się przez długi czas przystąpieniu klauzuli warunkowej statutu Trybunału sprawiedliwości międzynarodowej z obawy przed obowiązkiem poddawania arbitrażowi swych sporów z różnemi mniej lub więcej kolorowemi państwami, nagle uznała to przystąpienie nietylko za możliwe ale nawet za bardzo pilne, i pociągnęła swym przykładem 12 nowych podpisów na czem się oczywiście nie skończy. Ponieważ dokonano już pewnych zmian w Statucie Trybunału, z ukłonem w amerykańską stronę, jest więc nadzieja, że i Stany Zjednoczone wejdą do instytucji haskiej i że idea powszechnego arbitrażu uczyni jednym skokiem większy skok naprzód, niż zdołała przebyć z mozołem przez długich lat dziesięć. Zasada potępienia wojny, jako środka regulowania sporów międzynarodowych, długo kiełkowała, zanim zakwitła w pakcie Kelloga, aliści dziś odrazu uważa się za słuszne przystąpić do modyfikacji Covenant'u Ligi Narodów, bo jego artykuły 12 i 15 dopuszczają możliwość wojny legalnej w wypadkach, gdy zawiedzie interwencja Ligi, czego pakt Kelloga nie przewiduje. Oby tylko przy tej sposobności nie padły ofiarą zbyt gorliwych potępicieli wojny pewne postanowienia o charakterze sankcji międzynarodowych, któremi artykuł XVI paktu grozi napastniczemu państwu, a które dla pewnych członków Ligi mogą być niewygodne.

Łatwą się okazała także zgoda na ograniczenie produkcji opjum i środków odurzających, przed czem Anglja opierała się dotąd wszelkiemi siłami, dbając widać o drobne nawyczki swych kolorowych obywateli. Szczytem wszakże ustępliwości i pojednawczości międzynarodowej będzie zwołanie zaproponowanej na zgromadzeniu konferencji państw produkujących i konsumujących w celu... ograniczenia produkcji światowej. Będzie rzeczą bardzo interesującą poczynić zestawienia, kto komu i ile ograniczeń zaproponuje.

Obok tendencji do generalizacji zobowiązań międzynarodowych, można było także obserwować na ostatniem zgromadzeniu Ligi Narodów pewne przejawy partykularne in statu nascendi. Śniadanie wydane przez p. Briand w hotelu des Bergues było wybitnie paneuropejskie, bo zaproszeni byli sami europejczycy z wykluczeniem przedstawicieli innych kontynentów; rzecz jasna, iż była to pierwsza próba zamanifestowania możliwości stworzenia gospodarczej federacji państw europejskich narazie w skromnym zakresie aplauzu dla kulinarnego ujęcia doktryny francuskiego męża stanu. Ta doktryna, oczywiście w szerszym niż kulinarnym jedynie zakresie, mocno się niepodoba Anglikom, którzy w niej widzą zakusy Francji na objęcie hegemonji we wspólnej federacji państw europ. Rosnąca przewaga Francji na terenie politycznym i finansowym jest jednym z motywów zbliżenia anglo - amerykańskiego, które z chwilą ingresu p. Hoovera do Białego Domu oraz objęcia przez p. Mac Donalda steru rządów brytyjskiego świata, stało się najzupełniej aktualne. I w tym wypadku jesteśmy zdumionymi świadkami przemiany niemożliwego i nieosiągalnego w możliwe i proste, aczkolwiek chodzi o tak poważne sprawy, jak utrwalenie pewnego regime'u sił na morzach. Problem jest bardzo trudny, bo z jednej strony Anglja nie może obciążać swego budżetu oszalałą rywalizacją ze Stanami w zakresie zbrojeń morskich, a z drugiej nie może się zgodzić na pierwszeństwo Stanów, które wprawdzie proponują przyjęcie zasady równości sił obu mocarstw, ale interpretują ją w sposób wyraźnie tę równość naruszający. Na ten temat toczyły się obrady na marginesie Ligi Narodów. Ekspert amerykański p. Shearer był bardzo nieustępliwy i bronił jak lew ilości ton amerykańskich krążowników; narady były bliskie ponownego fiaska, aliści bomba pękła: p. Shearer, któremu potęga Stanów tak leżała na sercu i który nie chciał ustąpić ani tony żelaza, okazał się w bliskim pokrewieństwie z trustem metalowców, którzy mieli to żelazo wytapiać. Oczywiście taki motyw uznano za skandaliczny, karta się odwróciła i p. Mac Donald osiągnąwszy snadź pewność, że jego autorytet nie dozna ujmy, wsiadł na okręt i pożeglował po nowe laury ku amerykańskim brzegom.

Zanim stamtąd nadejdą wieści, wystarczy nam czasu dla spraw drobniejszej wagi. W Austrji rząd się zmienił. W Czechosłowacji rozwiązano parlament. W obu tych faktach można się dopatrzeć działania ostrych przeciwieństw stanowych. W Austrji rozdźwięk między krajami, usposobionemi narodowo i konserwatywnie a socjalistycznym Wiedniem, istniejący od samego początku, pogłębił się bardzo w ostatnich czasach. Drastycznym tego dowodem były krwawe wypadki na ulicach Wiednia w lipcu 1927 roku. W wyniku działających przeciwieństw obie strony jęły się organizowania korporacyj bojowych: socjaliści Schutzbun-

(Dokończenie na str. 19)

Październik

Niosą się mgły po polu,
Wloką się mgły wilgotne,
A z niemi, pełne bólu,
Serce samotne.

Błąka się po przestworzu,
Tętniące smutku hymnem
I tonie w mgły tej morzu
Martwem i zimnem.

Gdzie spojrzyć wokół szaro,
Gdzie spojrzyć śmierć, zagłada
Więc z serca dawną wiarą
U krzyża pada.

Lecz całun powłóczysty,
Faluje, gdyby morze:
Z za mgły—Chrystusa twarzy
Dojrzeć nie może.

I zrywa się znów serce,
I płynie na kraj świata,
Gdzie jego dach rodzinny,
Ojcowa chata.

Przypomnieć chce swą
młodość,

Pragnienia jej gorące,
I miłość przebolałą
I marzeń słońce.

Więc klęka u wrót starych
I niże wspomnień kwiecie,
O jeszcze, choć dzień jeden,
Chce śnić na świecie.

Lecz mgła, co je otacza,
Krew wrzącą wyziębiła,
Nie może wskrzesić wiosny
Serce — mogiła!

I mgłom, niesionym wiatrem,
Oddaje się na wolę,
I błądzi beznadziejnie
Przez pole.

Dniem chmurnym, nocą ciemną
W mgłach nieprzejrzanych
płacze,
Skazane na stracenie
Serce tułacze...

Or-Ot.



Prof. Sałtykow (Rosja emigr.)



Prof. Rychlik z Pragi

Wszechsłowiański zjazd matematyków



Prof. Popow z Sofji



Prof. Lichtensztejn z Lipska



Prof. Orlicki z Białogrodu



Prof. Petrowic z Białogrodu



Liałczew z Sofji

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Bitwa pod Wilnem

Bitwa pod Wilnem... Ale bezkrwawa bitwa! Bez tyraljer i karabinów maszynowych, bez ognia artyleryjskiego, bez kawalerji... Wojsko? Owszem, było: cała armja robotników. Sztab? Owszem, był: dzielni inżynierowie z min. Robót Publicznych. Wróg? naturalnie, że był: piachy olbrzymie, i błota, i bajora, i nieużytki — które należało ujarzmić. Bo chodziło o małą pozornie, zwyczajną rzecz. O wybudowanie szosy, którąby nareszcie połączyła ze światem — Wilno.

* * *

Było — w dotychczasowej sytuacji — coś paradoksalnego i prawie upakarzającego. Wilno, nasza stolica kresowa, Wilno — nasze miasto najulubieńsze, Wilno — nasze Ateny (i nasz Kudak!), Wilno — nasz jubilat uniwersytecki, Wilno — siedziba władz politycznych i administracyjnych — nie miało doniedawna ani jednej drogi, któraby naprawdę wiązała się z drogami europejskiemi. Jak jeżdżono przed laty szerokim Traktem Lidzkim, czy Połockim, tak jeżdżono dalej. Tu i tam przybyło trochę bruku, tu i tam przybyło trochę szosy. Ale te fragmenty gubiły się beznadziejnie w rdzennej wileńskiej glinie, lub jeszcze rdzenniejszym piasku. I wychodziło na to, że jedynie kolej odgrywa poważniejszą rolę. A turysta, chcący tam dotrzeć autem, zawsze się musi drapać za uchem. Bo jeżeli tam nie lało wczoraj, to jakoś się objedzie. Ale jeżeli, przypadkiem, lało — to niewiadomo, czy się przed nocką zdąży do Żorża? I wogóle niewiadomo, czy się z traktu wyjedzie? Czy nie trzeba będzie, spuściwszy z tonu, porteczki zawinąć, z błotnika prosto w bagno skoczyć, parę stajań (a może nawet parę kilometrów!) do najbliższej chaty człapać — i zwoływać kmiotków z konikami. Na pomoc... Dopieroż potem przyprzęganie krnąbrnych koników, i rwanie się postronków, boć to przecież zwykłe próchno, i naciskanie gazu do deski, i wyrywanie biegów w maszynie, i siódme poty, i grzanie się motoru, i buchanie pary z chłodnicy, i mżący, lodowaty kapuśniaczek prosto w oczy, i żałosne kwilenie siedzących w aucie pań...



Jedną z bolączek stolicy Kresów Wschodnich — Wilna, było jej odosobnienie wskutek braku szosy dojazdowej. Dziś już się skończyło... Odwróciliśmy nową kartę, otworzyliśmy nowe horyzonty dla rozwoju naszych Kresów. Zbudowaliśmy szosę, za przykładem tym pójdą samorządy, całe społeczeństwo obudzi się do czynu i rychło nie poznamy całych połaci kraju, które się pokryją siecią nowych dróg.

A cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy nie dla rozrywki, nie w celach turystycznych, ale z konieczności, z transportem, albo dostawą, z wielkim ciężarem, albo, co gorsza, na *termin* jakiś, z wielkim *pośpiechem* jechali? Żona ci rodzi, albo masz w sądzie sprawę, albo prowadzisz piec parowy, albo się śpieszysz na ważne posiedzenie u wojewody Raczkiewicza — a tu, jak na złość, ani naprzód, ani w tył...

* * *

Szczupły jest nasz budżet drogowy. Kraj ma mnóstwo palących potrzeb. Wśród różnych perypetyj naszej (dość chwiejnej) polityki gospodarczej — bywało ministerstwo Robót Publicznych nieraz kopciuszkiem. To też sprawa budowy szosy, któraby połączyła Wilno z resztą kraju, strasznie długo się wałkowała, zanim dobiła do mety. Ale przecież dobiła. I oto w dniu 17.IX. nareszcie obchodziliśmy otwarcie tej arcy-ważnej szosy.

* * *

Że oceniono należycie doniosłość tej ukończonej pracy, wynika chociażby z faktu, że aż 4-ch ministrów i 2-ch podsekretarzy stanu celebrowało tę uroczystość. Byli tam panowie: Moraczewski, Staniewicz, Prystor, Kühn — i wielu, wielu, dostojników państwowych, których nazwisk nie zliczę. Wobec tego zaś, że trasa nowej szosy przecina aż trzy województwa — witało nas (i żegnało) aż trzech wojewodów: białostocki p. Kirst, nowogródzki, p. Beczkowicz, wileński, p. Raczkiewicz.

A potem — przyjmowało nas wdzięczne, uradowane, rozpromienione, jak zawsze gościnne — kochane Wilno.

Nową szosę otworzono solennie w Jeziorach (Grodzieńszczyzna). Długość jej wynosi około 120-tu kilometrów. Można więc teraz, panowie automobiliści, siadłszy przy kierownicy w Warszawie (powiedzmy, po smacznem śniadaniu u Langnera czy u Simona i Steckiego) dać ostro gazu droga przeważnie równa, jak stół) i machnąć przez Wyszków, Ostrów, Zambrów, Białystok, Grodno — do Wilenka, na kolację u Żorża. Jedzie się kapitalnie. Gdyby nasi zagraniczni koledzy-automobiliści wiedzieli, *co to jest za szosa*, toby hurmem do nas z maszynami walili, bo zagranica ma wprawdzie nieopisanej elastyczności i doskonałości asfaltowane i klinkierowane szosy — ale i wściekły ruch samochodowy, i gęste zaludnienie, i ciągłe skręty i zakręty, też... A tutaj — jedziesz krajem prawie pustym, lasami o przedziwnej woni i cudownej barwie, zaczarowanem odludziem, nad którem, zwłaszcza porą jesienną, żeglują najpiękniejsze na świecie, najprzedziwniejsze chmury... I liść złoty ściele się mięciutko, i szeleszczą olbrzymie brzozy, jakich gdzieindziej niema i pachną po mszarach zioła dzikie, i pachnie woda — a czasami, właśnie jesienią, ciągną klucze gęsi i żórawi...

* * *

To nieprawda, że kultura zabija te czasy. Nie. Ona je tylko *uprzystępnia* ludziom. Dlatego wierzę, że nowa szosa, przecinająca kraj słynnej Rudnickiej puszczy, nie będzie wrogiem głuszców, tokujących tutaj wiosną, ani drogocennych łosi, mających tutaj ostoję. Wierzę, że troskliwa dłoń człowieka otoczy jeszcze większą opieką cuda przyrody — a rwący, bystry potok życia wniesie w ubóstwo kraju to, co za kulturą idzie: harmonję!

* * *

„Bitwa pod Wilnem" — owe 120 kilometrów bitej drogi — jest jednym z wielu skromnych wyczynów, dokonanych w ostatnim okresie. Człowiek powierzchowny, interesujący się słabo życiem kraju, wzruszy może ramionami i powie, że nie było powodu do robienia wielkiego „Hallo!" z powodu jednej nowej szosy. Ale wszyscy obywatele, naprawdę wrażliwi na polską rzeczywistość, zrozumieją, że każdy nowy gościniec, każdy nowy most, każda nowa bursa, czy szkoła, czy przedszkole — każde drzewko, posadzone przy drodze, każdy kwiat, posiany na rabacie — to są pierwsze, nieśmiałe błyski *urody Polski*. I nietylko urody: jej *mocy*. Bo to, czy poseł Pypa pojedna się z posłem Grypą — to jest, ostatecznie, tylko epizod. I to, czy najbliższy konwektykl odbędzie się pod przewodnictwem Guździa, czy pod przewodnictwem Siuździa — to jest także atrakcja przemijającego znaczenia. Ale nie przeminie tak prędko nowy most, stawiany teraz pod Toruniem. Ani tamten, który właśnie kończymy na Dniestrze, pod Uścieczkiem. Ani nowopobudowane schronisko nad cudnem jeziorem Narocz. Ani ot, chociażby, to nowa szosa, ochrzczona imieniem Marszałka Piłsudskiego...

* * *

W dniu, w którym się przekonamy, że najefektowniejszy frazes znaczy praktycznie mniej od pryzmy szutru, a najkrzykliwsze „Niech żyje!" albo „Precz!" mniej od rozkwitającej jabłonki — w Polsce uczyni się weselej i pogodniej. A kiedy jeszcze trzech dyskutujących ze sobą polaków będzie miało, zamiast czterech zdań, tylko jedno, *wspólne* zdanie — uczyni się w Polsce i *zamożniej*. Boże, ile ja wówczas zarobię za taki feljeton!

Z szerokiego świata



Krewna Japońskiej pary cesarskiej miss Tohsiko Kujo, wyszła zamąż za wicehrabiego Okubo. (Atlantic).



Abisyńska księżniczka Woskylmna Jechach, przybyła ze swą damą dworu do Bad Hamburg, celem leczenia swych nadszarpniętych nerwów. (Atlantic).



Król wyspy Samoa, złożył hołd prez. Hooverowi.

Dynamit

Była godzina druga lub trzecia rano i osiedle Casey Creeck, założone przez poszukiwaczy złota, pogrążone w ciemnościach, spało.

Nie wszyscy jednak, pomimo wczesnej pory, znajdowali się w łóżkach. Do drzwi wejściowych szynku Barney'a skradała się niewielka grupka ludzi. Przez szparę w okiennicy zauważyć można było, że płonęło tam światło.

Idący na czele podszedł do okna zapukał trzykrotnie i lekko gwizdnął. Światło momentalnie zagasło i drzwi otworzyły się bez szelestu. Cienie prześlizgnęły się do wewnątrz.

Teraz zapalono znów lampę naftową i drżący jej płomień padł na izbę, oświetlając zebranych mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny, dubeltówki lub sześciostrzałowe Colty.

— Chłopcy — powiedział Barney, zniżając prawie do szeptu swój tubalny głos — zdaje mi się, że przedewszystkiem należy wypić. Co chcecie? Whisky? Zaraz przyniosę...

Za chwilę pojawił się z butelkami i cała kompanja rozsiadła się na ławach.

Wypito. Barney odkalsznął i dał znak, że chce przemówić.

— Nie lubię długo gadać — rzekł, obracając w ustach wielki kawał prasowanego tytoniu. — Wszyscy wiedzą po co tu przyszli i rzecz cała nie wymaga specjalnych objaśnień. Zgadzamy się z tem, że osiedle nasze nie potrzebuje Lenti Charrigana, czy też innego bandyty w tym rodzaju. Wymigał się już raz od kary za udział w morderstwie Pattersona, chociaż wiemy, że przykładał on do tego rękę. Ostrzegliśmy go w swoim czasie. Teraz mimo wszystko przybył tu znowu i rozpoczął swoje kawały. Złapano go, ale szeryf jest chory — Lenti może nam uciec. Zamknięto go w domu Jacksona. Musimy złożyć mu wizytę, rozumiecie?

Głuchy pomruk przebiegł przez izbę.

— Żeby nam lżej było wykonać to, co zamierzamy — odezwał się jeden z tłumu — proponuję jeszcze raz wypić.

— Pięknie powiedziane, Jimmi! — burknął jego sąsiad. Barney napełnił szklanki.

— Niech żyje Lynch! — rzekł wysoki, brodaty kopacz wznosząc szklankę.

Toast ten wychylono duszkiem.

— Ruszamy — przynaglił Barney — niedługo zacznie świtać.

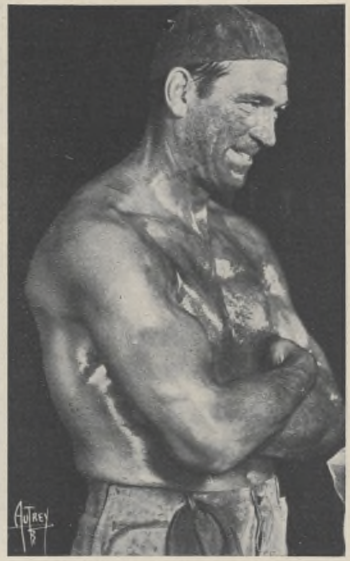
Lampę zgaszono i towarzystwo w milczeniu zaczęło wychodzić.

Stary, opuszczony dom Frisco Jacksona znajdował się na końcu ślepej uliczki, noszącej szumną nazwę Alei Lincolna. Barney po wyjściu z szynku wydał szeptem jakieś polecenie i dwóch ludzi z karabinami stanęło na drodze, by nie dopuścić ludzi niepowołanych.

Przed domem zatrzymano się, a dwóch górników przyniosło olbrzymi kloc drzewa i po rozkołysaniu, potężnie uderzyło nim w drzwi. Były one jednak bardzo mocne i nie puściły. Trzask obudził widocznie więźnia, bo dał się słyszeć szczęk łańcuchów. Lenti musiał wstać.

Jeszcze raz! — rozległy się przytłumione głosy i taran uderzył znowu. Teraz drzwi pękły. Latarki oświeciły wnętrze.

Tuż przy drzwiach stał barczysty mężczyzna, o smagłej, energicznej twarzy i czarnych, błyszczących oczach. Odważnie patrzył przed siebie, nie zdradzając najmniejszej obawy, czy zdenerwowania. Bandyta ten, którego znano pod nazwiskiem Lenti Charrigana, nie był przeciętnym złodziejaszkiem. Drżał przed nim cały Zachód i jego policja.



...mam tylko jedną prośbę. (Fot. Fox)

— Dżentelmeni — powiedział miękko — czemu mam przypisać zaszczyt waszych odwiedzin?

Barney spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie pleć głupstw — rzekł ostro — wiesz dobrze, pocośmy tu przyszli. Jesteś tam, gdzie niema wyższych instancyj sądowych, śledztw i apelacyj. Nie mamy potrzeby zwlekać dłużej. I tak nie spaliśmy dość długo, dzięki tobie.

— Dżentelmeni — odpowiedział Lenti — wiedziałem, że do tego przyjdzie. Przyznaję, że uczyniłem głupstwo. Powinienem był was usłuchać i nie pojawiać się w tej okolicy. Nie mogę poruszać się dość szybko z temi łańcuszkami na nogach, ale postaram się nie opóźniać waszej roboty. Panowie — jestem do usług.

Ludzie zamierzający zlinchować bandytę otoczyli go i Barney poprowadził ich do lasu. Wybrano odpowiednie drzewo, zarzucono nań mocny sznur zakończony pętlą i postępując według prawa Lyncha, zapytano skazanego, czy nie ma nic do powiedzenia przed śmiercią.

— Nie myślę się bronić i nie będę się spowiadał — spokojnie odrzekł Lenti — mam tylko do was jedną prośbę, panowie. Pozwólcie, by mi zdjęto kajdany. Chcę umrzeć jak człowiek wolny.

Takie życzenie stojącego w obliczu szubienicy wydało się obecnym dość skromne. Po krótkiej naradzie przychylono się do jego prośby.

Z gromady wystąpił kowal i z pilnikiem podszedł do bandyty.

— Podnieś nogę i postaw ją na kamieniu — powiedział — muszę ci najpierw zdjąć buty.

Po upływie paru minut przepiłowane kajdany opadły z brzękiem z nóg Charrigana.

Ten uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Jeśli pan teraz będzie tak uprzejmy i nałoży mi buty, będę zupełnie gotów.

Usiadł na kamieniu i kowal przykląkł przed nim. Nagle jednym, błyskawicznym ruchem porwał Lenti ciężkie okowy i wymierzył straszliwy cios w głowę kowala. Nieszczęśliwy padł na miejscu zalewając się krwią. Nim obecni zdążyli oprzytomnieć, Lenti wyrwał mu z za pasa rewolwer i z dzikim okrzykiem triumfu znikł w ciemnościach.

Przez sekundę stali wszyscy bez ruchu, poczem jak szaleni rzucili się za nim. Przeszukano las. Gdy błysły pierwsze promienie jutrzenki odnaleziono ślady bandyty. Prowadziły do toru kolejowego.

Ścigający pobiegli w tym kierunku i ujrzeli, że Lenti wpadł na stację.

Gdy znaleźli się tam zobaczyli, że Charrigan stoi na lokomotywie i u nóg jego leży powalony maszynista.

Prześladowcy zatrzymali się i tuzin luf karabinowych skierował się w pierś bandyty. Ten spokojnie podniósł lewą rękę i w czystem, porannem powietrzu zabrzmiał jego równy głos:

— Dżentelmeni, nim pociągniecie za cyngle, popatrzcie proszę jaki cel obrałem dla swego rewolweru.

Wszyscy, jak jeden mąż spojrzeli w tym kierunku. Tuż obok toru, robotnicy kolejowi budując nasyp, wysadzali skalisty grunt i na brzegu takiej wyrwy leżał cały szereg paczek, w których zazwyczaj znajdował się dynamit.

— Widzicie — ciągnął Lenti nie zmieniając pozycji — jeśli natychmiast nie opuścicie waszych karabinów, to, niestety, będę zmuszony wystrzelić w ten dynamit i my wszyscy razem, w przyjemnej kompanji, udamy się na łono Abrahama.

Wyloty wszystkich luf zniżyły się do ziemi.

Lenti działał szybko. Nie dając nikomu czasu na opamiętanie, dotknął dźwigni i pociąg ruszył z miejsca.

Z przekleństwem rzucili się pokonani do wyrwy i obejrzeli zawartość paczek.

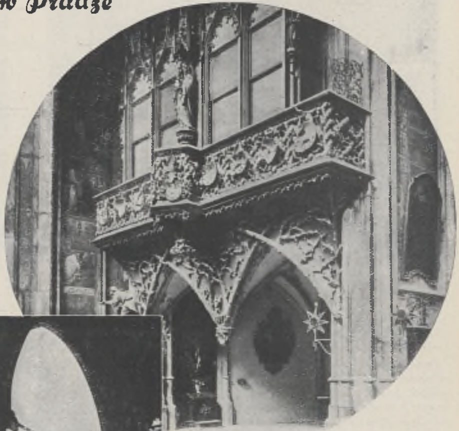
Wszystkie, co do jednej były puste...

R. Redl.

Obchód 1000-lecia św. Wacława w Pradze



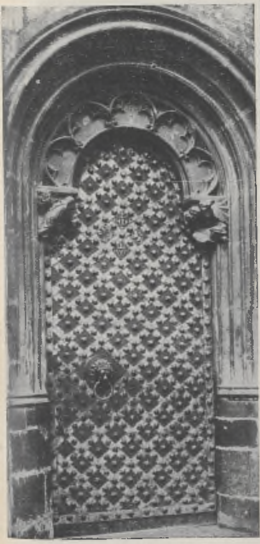
Grobowiec Przemysława Ottokara I w Katedrze św. Wita (dzieło rzeźb XIV w.).



Budowa katedry św. Wita w Pradze została rozpoczęta w r. 1344 przez Mateusza z Arrasu.



Piękny widok na katedrę św. Wita z krużganku Belwederu.



Wrota przy kaplicy św. Wacława w katedrze św. Wita w Pradze.

W Pradze czeskiej uroczyście obchodzono 1000-lecie śmierci św. Wacława, powszechnie uznanego za patrona Czechosłowacji. Kult świętego jest tak ściśle związany z tradycją historyczną, iż Czesi, mówiąc o swym kraju, nazywają go zawsze „Ziemią Korony Święto-Wacławskiej".

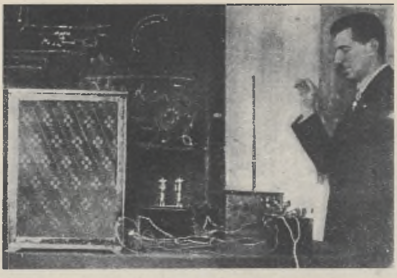
Goście zagraniczni, którzy ze wszystkich krajów przybyli do Pragi na zaproszenie rządu czeskiego, mieli możność zwiedzenia przepięknej katedry św. Wita, stanowiącej jeden z najstarszych zabytków historycznych — tem ciekawszy, iż budowę świątyni rozpoczęto w r. 1344, a ukończono zaledwie w ostatnich czasach.

Z okazji uroczystości ku czci św. Wacława wystawiono na pokaz publiczny w katedrze czeskie klejnoty koronne — koronę, berło i jabłko — przechowywane w Karlowym Tynie, zamku wybudowanym przez Karola IV-go w r. 1348.

Korona czeska, zwana świętowacławską, zawiera według podania cierń z korony Chrystusa, który Karol IV miał otrzymać od króla francuskiego.



Średniowieczne dukaty czeskie z wizerunkiem św. Wacława.





Nowości techniczne

Specjalną słabość czuli i czują technicy do muzyki. Chętnie tej najmilszej z Muz służą innowacjami i udogodnieniami.

Jeszcze przed wojną skonstruował Kromar swój kromarograf ułatwiający ogromnie twórczą pracę wielkich genjuszy tonów. Kromarograf zostaje połączony z fortepianem i notuje skrupulatnie każdą nutę kompozycji zagranej przez muzyka. Nużące pisanie nut przy tworzeniu nowych melodyj, hamujące polot i nastrój autora stało się więc zbytecznem. (Fot. u góry).

Nawet o ułomnych nie zapominają inżynierowie, obdarzając również tych nieszczęśliwych darami techniki. Niewidomi zastępują wzrok poczuciem dotyku palców.

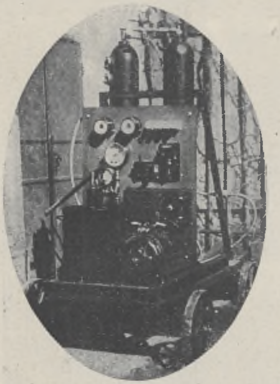
Poniżej zamieszczona fotografja maszyny do pisania dla niewidomych nie wymaga chyba bliższych objaśnień.

Zamiast liter maszyna tłoczy wypukłe kropeczki alfabetu Braille'go.

Przy tej sposobności wspomnimy jeszcze o wynalazku francuskiego fizyka Dussaud'a, który spowodował przewrót w pedagogice niewidomych, dzięki skonstruowaniu zupełnie pojedyńczego aparatu znakomicie ułatwiającego nauczanie niewidomych: działań matematycznych, mianowicie dodawania liczb wielocyfrowych, odejmowania, dzielenia, mnożenia, i t. d., a co więcej udostępnił niewidomym rysowanie i malowanie.

Inny wynalazca Naumburg skonstruował aparat stanowiący poważny krok naprzód do tak zwanej „mówiącej książki", czyl aparat, który odczytuje głośno dowolną książkę.

Technika współczesna stała się prawdziwym „pierścieniem życzeń". Zaledwie sformułujemy nowe życzenie, postawimy nowy problem, a już wynalazczy spryt inżynierów dostarcza nam gotowy aparat, posłuszny naszym zachciankom i kaprysom.



Bardzo romantycznie przedstawia się historja wyżej sfotografowanej maszyny pędzonej nie benzyną, lecz gazem piorunującym, czyli właściwie — wodą.

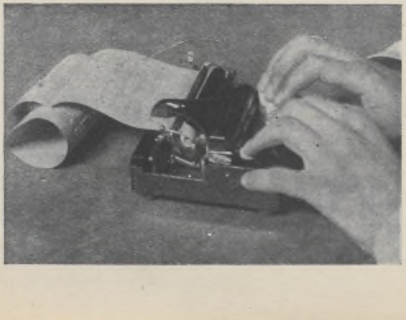
Przy minimalnem nawet ogrzewaniu gaz piorunujący eksploduje a na jego miejscu pozostają kropelki wody. Siła eksplozji jest tak wielka, że dotąd uważano za rzecz zbyt ryzykowną, stosować gaz piorunujący do popędu maszyn. Dopiero problem podróży międzyplanetarnych, zwróciwszy uwagę inżynierów na gaz piorunujący, ostatecznie stał się powodem do popędu zwykłej wody, a mimo to działa sprawniej aniżeli inne maszyny.

Pół roku temu stało się rzeczą możliwą nadawanie obrazów filmowych za pośrednictwem fal radjowych i taśmy filmowej ze stacji nadawczej, tak, że każdy radjoamator może urządzić u siebie przedstawienie filmowe. Nie można jednak było dotąd nadawać obrazów wprost z życia, bez poprzedniego dokonania zdjęć filmowych, czyli że prawdziwa telewizja stanowiła jeszcze problem przyszłości, o którym głoszono, że długo jeszcze będzie musiał czekać na realizację.

Tymczasem stało się zgoła inaczej. Oto dowiadujemy się, że ten sam wynalazca węgierski Mihaly, skonstruował nadawczy aparat radjowizyjny, który z łatwością można przenosić i za jego pośrednictwem przesyłać obrazy z życia codziennego wprost z miejsca zdarzenia. Nie potrzebujemy się więc już ubiegać o łaskę mistrza z kogucim piórkiem, by wyczarować w zaciszu naszej pracowni obrazy żywych, poruszających się osób, znajdujących się w danej chwili na drugiej półkuli Ziemi. Za trzy skromne złotówki miesięcznie każdy obywatel choćby z krańców Rzeczypospolitej widzieć będzie Petkiewicza biegnącego wraz z Nurmim na warszawskim stadjonie, będzie podziwiać dorodne Sjamki przy ich porannej toalecie lub widzieć i słyszeć Stresemanna zapewniającego nas o pokojowości Germanów. (Fot. u góry).

Nie mniej doniosłym jest wynalazek medjolańskiego kapelmistrza, który zbudował aparat, zapomocą którego nuty będzie można drukować tak jak zwykłe litery. Wynalazek ten ma ogromne znaczenie. Wiemy, że nuty są stosunkowo bardzo drogie, właśnie ze względu na kosztowność ich druku. Należy się więc spodziewać, że ogólne wprowadzenie aparatu do drukarstwa spowoduje znaczne potanienie nut, co oczywiście znakomicie odciąży kieszeń miłośników muzyki. (Fot. u dołu).

Dr. Burdecki.









Nr. 145. Zbigniew Bałycki (Warszawa, fot. Malarski).



Nr. 146. Basia Czarniawska (tartak Wołów, pow. Końskie)



Nr. 147. „Janeczka" (Lublin).



Nr. 148. Jureczek Petz (Szang-haj, Chiny).



Nr. 149. „Halszka" (Jadwigów, pow. Ostrowiec).



Nr. 150. Andrzej Robert Zalcman (Warszawa, fot. Dorys).



Nr. 151. „Synek".



Nr. 152. Olgierd Wit Hanusz (Warszawa).

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"



Nr. 144. Basia Sieniarska (Warszawa, fot. Malarski).



Nr. 143. „Karolek K" (Poznań).



Nr. 142. Jasio F. (Łódź).



Nr. 138. Zuza F. (Łódź).



Nr. 137. „Halszka I" (Radom).



Nr. 136. Ryszardek Świątecki. (Bydgoszcz, fot. Schabenbeck, Zakopane).

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO „7 DNI"
Kupon z Nr. 37-go.

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nieujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Następujące Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI": *Warszawa* — Jan Malarski, Chmielna 10; *Kraków* — Fot. „Janina", Starowiślna 21; *Lwów* — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; *Zakopane* — Fot. Schabenbeck, Krupówki; *Rabka* — Fot. „Janina"; *Iwonicz i Rymanów* — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

GOTÓWKĄ

10.000 ZŁ. NAGRODY



Wobec coraz liczniej nadsyłanych zgłoszeń przedłużamy termin trwania konkursu „Najpiękniejsze Dziecko Polskie" do dnia 1 listopada b. r., poczem zostanie ogłoszony plebiscyt czytelników. Głosy nadsyłane przed tym terminem nie będą brane pod rachubę.

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 Nagroda: 3 000 złotych,
2 Nagroda: 1 000 złotych,
3 Nagroda: 750 złotych,
4 Nagroda: Maszyna do szycia „Singera".
5 Nagroda: Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem,
6 Nagroda: Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 Nagroda: Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak",
9 Nagroda: Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 Nagroda: Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".
11, 12 Nagroda: Słuchawki „Polmet".
UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI".

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 Nagroda: 2 000 złotych,
2 Nagroda: Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 Nagroda: Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 Nagroda: Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 Nagroda: 150 złotych.
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16 do 24-ej Nagrody: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu"'.
29 Nagroda: Słuchawki „Polmet".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 139. Kitta Grzybowska (Warszawa).



Nr. 140. Tadeusz Naszkiewicz (Szczuczyn - Białostocki).



Nr. 141. Basia Gryglewska (Łódź).



Nr. 153. Lula Potokówna (Olkusz).



Nr. 154. Włodzimierz Dzięciołowski (Tomaszów Mazowiecki).



Nr. 155. Zygmunta Zofja Płazakówna (Pińsk).

W następnym numerze podamy jedenastą serję fotografij konkursowych.

Dzisiejsza matka

Jedyną pamiątką, jaka pozostała po mojej matce, jest mała wypłowiała fotografja, z czasów, kiedy po raz pierwszy poznała swego męża. Postać matki, 18-letniej naówczas panny, sztywna, wątła, blada, wprost nakrochmalona swą godnością i dostojeństwem, z kopiastą fryzurą na gło-



Oto jak wyglądała dawniej dziewczyna po ukończeniu pensji... na progu życia...

wie, z długiemi, duńskiemi rękawiczkami na rękach; pod obciśniętym jedwabiem sukni, wyczuć wprost można ciasno opasujące tułów i omal nie pękające fiszbiny gorsetu; dokoła szyi wije się szeroka wstążka, zakończona kokardą; tył sukni zakończony długim, szerokim trenem. Obok mej matki stoją jej siostry, sztywno i sztucznie oparte o tekturową balustradę; wszystko na tle szarej dekoracji, wyobrażającej park ze stawem i pływającemi łabędziami. Wzrok wszystkich trzech wbity w objektyw aparatu. Na twarzach maluje się jakby zdziwienie oraz dobre wychowanie, którego zewnętrznym wyrazem jest buzia w ciup i dłonie w małdrzyk.

Przyglądając się ich twarzom, mam wrażenie, że należą do kobiet czterdziestoletnich, posiadających rozum i znajomość życia dzisiejszej, dziewięcioletniej dziewczynki. Jak daleko sięgam swą pamięcią, widzę matkę stale bladą i smutną. Dźwięczą w mych uszach liczne *impromptus i nocturny* oraz wiją się przed memi oczami niezliczone zwoje i metry robótek szydełkowych.

Wychowanie moje, któremu się poświęciła bezgranicznie, kosztowało ją wiele zdrowia i kłopotów. Troszczyła się wiecznie żebym nie zamoczyła nóg, żebym się zbytnio nie rozgrzała, nie przeziębiła; obmotywała mnie zimą w stosy grubej bielizny, całemi latami walczyła grzebieniem i olejkiem orzechowym z moją niesforną, ustawicznie potarganą fryzurą. Codziennie wieczorem splatała mi włosy w pięć warkoczyków, które, podobno, miały mnie uchronić przed lekkomyślnościami młodości. Gdy doszłam do lat szesnastu, zaczęła mi, w sposób mętny i niezrozumiały, opowiadać o czyhających na mnie niebezpieczeństwach i przestrzegać przed mężczyznami, których zaliczała w czambuł do najgorszych naszych nieprzyjaciół. O ile ją mogłam naówczas zrozumieć, czuła wstręt nietylko do miłości niedozwolonej, ale również i niechęć do miłości usankcjonowanej sakramentem.

Biedna moja matka z ubiegłego wieku. Życie jej było tak wąskie, jak klatka ptaka, zabita ze wszech stron deskami. Ile strachu napędziłyśmy jej my, dziewczęta XX wieku, z naszymi Ibsenami i Nietzschemi, naszą rewolucją przeciwko temu, co trąciło małomieszczaństwem, naszem wywalczaniem sobie własnych dróg, celów, pracy i głodem rzeczywistego życia, pozbawionego sztucznych obsłon i fikcyj.

Niejedna z nas, przechowując jako najdroższą relikwję wyblakłą podobiznę swej matki jest również matką. Stworzyła sobie życie według swej własnej woli i chciałaby swoje dziecko wychować według własnego wzoru. Niestety, jest to rzeczą prawie niewykonalną. Matka dzisiejsza stanęła narówni ze swem potomstwem i musi wspólnie z niem kroczyć naprzód. Utrzymanie taktu, powagi matczynej oraz pełnowartościowego zaufania staje się z dniem każdym coraz bardziej trudne.

Chcąc być opiekunem, towarzyszem i nauczycielem, matka musi się stale uczyć coraz to nowych rzeczy. Wtajemnicza się w arkany radjotechniki, uczy się na pamięć marek automobilowych, konstrukcji samolotów, rekordów sportowych. Musi na każde zawołanie dać dziecku wyczerpującą i zgodną z prawdą odpowiedź. Biada jej, jeżeli się będzie starała zbyć dziecko byle czem. Stanie się wtedy istotą zbyteczną dla dziecka i straci całe jego zaufanie. Ileż to matek obecnie studjuje pilnie gazety, pisma techniczne i sportowe, ażeby przyswoić sobie tysiące niezrozumiałych a tak niezbędnych terminów i wypadków. A pomimo to nieraz znajdzie się w tak kłopotliwej sytuacji, że wiele potrzeba sprytu i przytomności umysłu, ażeby z niej wybrnąć.

Pewnego razu musiałam wysłuchać następującej rozmowy mego 14-letniego malca: „Wiesz co, mamo, teraz jest jeszcze wszystko w porządku, ale za rok, dwa zupełnie będzie inaczej. Powiedział mi o tem Janek (Janek jest kolegą mego syna z klubu sportowego). Jak skończę 15 lat, stanie się ze mną coś nowego, będę chciał uciekać z domu, wszystko będzie mi się w domu wydawało idjotycznem — tak mówił Janek. Wtedy dojrzeję płciowo — powiedział Janek — i wtedy tylko odemnie będzie zależało uczyć się lub nie". Chwila milczenia. „Jak długo będę chodził do szkoły, nie będę miał żadnej narzeczonej, choć inni je mają. Ale jak tylko szkołę skończę, zaraz się ożenię". „A z kim się ożenisz? — spytałam ostrożnie". „Przedewszystkiem musi być zdrową — odpowiedział tak żywo, iż miałam wrażenie, że dawno się nad tem zastanawiał — zdrową i wysportowaną. Obecnie wszystkie dziewczyny uprawiają sport. Chcę żeby ze mną jeździła na nartach i motorówką. Musi mieć też pieniądze na auto. Musi być szoferem, uczą tego w rozmaitych szkołach. Nie może być głupia. Nie cierpię głupich bab. Musi znać języki, żeby mogła ze mną podróżować. I nie pozwolę jej się pudrować i malować. Nic z tego. A włosy musi mieć dłuższe, od tych chłopczyc. I żadnych awantur ze strojami. Zresztą jak dorosnę, to wszyscy ludzie będą chodzili tylko, albo w ubraniach sportowych, albo w takich od święta. Moje dzieci, od urodzenia, będą biegać nago, żeby były silne i zdrowe, nie takie cherlawe, jak dzisiaj". Oto były wymagania mojego 14 letniego syna, który, zwierzając mi się poufnie, patrzył swemi jasnemi dziecięcemi oczyma w przyszłość.



Podlotek z 1929 r.



By dorównać swemu dorastającemu synowi, musi matka zaznajomić się z trudnemi pas black - bottoma

I kiedy po tej rozmowie rozejrzałam się uważnie wśród nawpółdorosłych dzisiejszych dziewcząt, spostrzegłam dopiero po raz pierwszy, że wyrastają na takich ludzi, jakich wymagają nasi małoletni synowie: zdrowe i wesołe, bez histerji, niedokrwistości, bez nerwów, bez sentymentalizmu. Ujrzałam je na boiskach sportowych, w domu i w laboratorjach, zapracowane i nie robiące sobie nic z tych drobiazgów, które dla nas były całym światem.

Pojęcie wstydu, czystości i dumy panieńskiej podległo nowej fazie ewolucji. To, co niesłusznie zresztą, raziło nasze matki, dzisiaj razi i matkę dzisiejszą, która pomimo najszczerszych usiłowań, nie może nadążyć postępowi życia społecznego i intelektualnego.

Jednakże matka, która nie może się często pogodzić z postępowaniem dorastającej córki, winna pamiętać o swej własnej młodości, która była dla dawnego pokolenia czemś niezrozumiałem i nawskroś gorszącem.

Nasze młode dziewczęta, biegające nieskrępowanie w kusych trykocikach spełnią również swoje zadania jako żony i matki.

(h. k.).

BRUNO WINAWER.

Dwie strony medalu

Raniutko o świcie budzi mnie głośne dzwonienie. Telefon.

Zrywam się z łóżka .Ktoś mówi — odrazu, bez dłuższych wstępów:

— Chciałbym panu oznajmić, że pani Kerszbaum wróciła.

Mocny Boże, co mnie to obchodzi? Nie znam jako żywo pani Kerszbaumowej...

— Omyłka — krzyczę do tubki — fatalna omyłka! Jedna z najfatalniejszych omyłek w dziejach!

Chwytam najnowszą powieść krajową, umieszczam głowę na poduszce i usiłuję zasnąć. Telefon znów dzwoni.

— Przepraszam, czy to 99-30?

— Owszem — powiadam. — Istotnie.

— Czy szkoła pani Kalchasowej?

— Ale skąd! Dlaczego? Nie!

— Lila Radzymińska nie przyjdzie na lekcję — brzmi jakiś głosik piskliwy.

Pauza... Dzwonek... I znów: „proszę mi przysłać natychmiast dziesięć kilo czekolady". Ktoś mnie pomylił z Wedlem. Potem z fabryką kielsztosów, potem z panią hrabiną Tyszkiewiczową. Wreszcie zgłasza się Ciechocinek i żąda, żebym zapłacił rachunek hotelowy. Nigdy w życiu nie byłem w Ciechocinku.

Wiem ,że takie i tym podobne historje opowiada — znacznie lepiej ode mnie — humorysta skandynawski, Hasse Zetterstroem.

Telefon wdarł się w nasze życie najintymniejsze, zakłóca donośnem dzwonieniem nasz spokój domowy, przerywa nam sen poobiedni, wyrywa nas z marzeń, odciąga od pracy. Podobno sam wynalazca tego przyrządu, sędziwy Bell, rzekł kiedyś zniecierpliwiony:

— Żebym wiedział, co z niego wyrośnie — tobym go nigdy nie wynalazł! Dzwoni i dzwoni niepotrzebnie!

A jednak... Nie chcę tu przytaczać cyfr, danych statystycznych. Amerykańskie przewodniki telefoniczne mogłyby opasać ziemię dookoła kilkanaście razy. Ilość abonentów... Ale poco wywalać drzwi otwarte? Nie możemy sobie już wyobrazić życia w krajach cywilizowanych bez telefonu. Szkoda czasu na próżne słowa. Gdyby nam kto ten aparat — głośny i natrętny — chciał odebrać, tobyśmy owego ktosia ukamienowali i obdarli ze skóry na placu publicznym.

Inną — poważniejszą — sprawę roztrząsają teraz pisma amerykańskie. Wielki przemysł trafił na właściwe metody, zorganizował pracę, uporządkował produkcję, wprowadził system taśmowy i — wyrzuca co kilka minut nowiuteńki samochód na rynek. Już dwadzieścia pięć miljonów maszyn krąży po ulicach, drogach i szosach Stanów Zjednoczonych, całą ludność olbrzymiego kraju możnaby pewnego dnia wywieźć autami na spacer. Motor benzynowy skrócił odległości, rozwinął miasta, podniósł dobrobyt, przyśpieszył rozkwit ekonomiczny, ale...

Jak stwierdza pewna ponura statystyka — co 46 sekund ginie ktoś pod bezlitosnemi oponami gumowemi. Katastrofy samochodowe pochłonęły więcej ofiar, niż wielka wojna... Co począć? Zamknąć na klucz fabryki Forda? Puścić z torbami Packarda? Wrócić do szkapy dorożkarskiej?

Z równą racją logiczną możnaby wykląć Prometeusza, pogasić na ziemi wszystkie ognie i światła, utopić w oceanie krzesiwa, hubki i zapałki, zrezygnować z gotowanej strawy i żywić się wyłącznie korzonkami, surową brukwią, ponieważ każdy płomyk może wywołać groźny pożar.

Nie zapominajmy zresztą, że nawet poczciwa szkapa niezawsze była łagodna i flegmatyczna. Poeci gęsto piszą o rozhukanych koniach, o stratowanych kopytami ludziach... Statystyki dokładnej wówczas nie było, ale katastrofy, niestety, zdarzały się zawsze...

Sprawa, krótko mówiąc, tak wygląda, że prawie każdy wynalazek — nawet najgenjalniejszy — ma, jak medal, przysłowiowy dwie strony. Jedna jest jasna, a druga ciemna.

Kiedyśmy wynaleźli film dźwiękowy, straciły nagle chleb i zarobek całe rzesze nieszczęsnych muzyków kinowych. Ich stowarzyszenia ogłaszają protesty, agitują w prasie, piorunują i złorzeczą...

Szofer zabił dorożkarza, kaloryfer zmiótł z po wierzchni smolne polana i liryczny kominek naszych praojców, cementowy drapacz nieba rozprawił się z domkiem drewnianym, stalowy okręt usunął żaglówkę, saksofon i piła przekrzyczały fletnię pastuszą, lampy łukowe i reklamy neonowe przyćmiły księżyc. Wszędzie wyrasta jakieś „ale", z za każdego „plusa" wyziera „minus"...

Reguła o dwóch stronach medalu jest tak ścisła, że można ją stosować w najbardziej krańcowych wypadkach. Naprzykład: znakomity Alfred Nobel, wynalazca przeraźliwego dynamitu, który od lat niszczy, dziesiątkuje, kaleczy nieszczęsne skłócone plemię ludzkie w licznych bojach — wynalazca piekielnego środka wybuchowego, był — jak widać z jego testamentu — filantropem, marzył o wiecznym pokoju, miał nadzieję, że jego substancja piorunująca przyśpieszy bankructwo wojny, otrzeźwi obłąkanych, zapewni zwycięstwo zdrowemu rozsądkowi... Omylił się. Ale kto wie — może za lat kilkadziesiąt dojdziemy do wniosku, że on właśnie miał słuszność, że chemja zabiła wojnę...

Nasze gromkie spory kawiarniane i głośne dyskusje towarzyskie polegają przeważnie na tem: są ludzie — powiedzmy *zezowaci* — którzy dostrzegają jedynie i wyłącznie ciemniejszą stronę postępu. W kinie widzą śmierć teatru, w radjofonie koniec muzyki, w gazecie upadek literatury, w aucie nieudolną parodję rzymskiej kwadrygi. Szosa ich razi, bo wyparła romantyczną dróżkę leśną, na samolot się krzywią, bo niema już okolic odludnych, wszędzie można dotrzeć szlakiem podniebnym.

Ci — zezowaci — mają szczególną wadę wzroku, są bardzo jednostronni.

Czy wiecie że...

...w roku ubiegłym, z plantacji w stanie North Carolina zebrano 468 miljonów funtów angielskich tutoniu, czyli 212 miljonów klg., z którego wyprodukowano 50.000.000 papierosów.

*

...w kołach arystokratycznych Rzymu wielkie wrażenie wywołał zakaz wstępu do Watykanu markizie Persechetti - Ugoteni, żonie radcy poselstwa Nikaragua, siostrzenicy papieskiej. Przyczyną tej banicji były stroje, jakich używała młoda markiza.

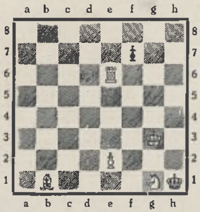
*

...Abraham Monteverde, z Morristown w Stanach Zjednoczonych, 60-letni piechur, pobił rekord w marszu przez kontynent od Atlantyku do Pacyfiku. Imponujący ten marsz odbył Monteverde z New Jorku do San Francisco, przebywając 3.415 mil (5.204 klm.) w ciągu 79 dni i 10 godzin, bijąc poprzedni rekord o 19 godzin.

Rozrywki umysłowe

A. AKERBLOM

Czarne: Kh1, pf7 (2)



Białe: Kg3, We6, Gb1, Sg1, pe2 (5). Mat w 2 posunięciach.

DALSZY CIĄG MATCHU O MISTRZOSTWO SZACHOWE ŚWIATA.

W dn. 3 października został wznowiony match o mistrzostwo świata pomiędzy Alechinem i Bogolubowem przy stanie 4:2 i 2 nierozegrane na korzyść Alechina.

TURNIEJ W KARLSBADZIE.

który się zakończył niedawno, nasunął szereg refleksji na temat oceny aktualnej siły arcymistrzów.

Zdumiewa przedewszystkiem niezwykle wysoki cyfrowy wynik Nimcewicza oraz jego bezpośrednie zwycięstwo nad szeregiem konkurentów (np. wygrane z Vidmarem, Bogolubowem, Spielmanem, i t. d.

Podobno Nimcewicz, który już przekroczył czterdziestkę, niedawno zaczął uprawiać gimnastykę, co jakoby przyczynia się znakomicie do utrzymania się w dobrej formę podczas długiej i męczącej walki turniejowej.

Drugi tryumfator turnieju — Spielman niewątpliwie wykonał w ciągu ostatnich paru lat znaczny postęp. Podczas ostatniego pobytu w Warszawie oświadczył on, że nie spodziewa się już wielkich sukcesów i nagród w turniejach międzynarodowych. Tymczasem rzeczywistość zaprzecza skromnemu championowi. Zwycięstwa Spielmana (Semmering, Karlsbad i t. d.) są zastanawiające.

Świetnie trzyma się mistrz Polski Rubinstein, który zajął miejsce o 1 punkt zaledwie za Spielmanem i Capablanką. O Capablance można nie pisać wiele. Wystarczy stwierdzenie, że jest on dzisiaj najpoważniejszym kandydatem do korony szachowej. O ile Alechin wygrałby rewanżowy match z Capablanką, jego panowaniu nad światem szachowym conajmniej przez jakie 10 lat nie zagrażałoby żadne niebezpieczeństwo. Chyba, że na horyzoncie europejsko - amerykańskiego świata szachowego zjawi się jaki nowy genjusz.

BILETY WIZYTOWE.

ułożyła Wanda F. z Warszawy.

LEON TOTKREMER

DR. JAN HOTECKI

PETRO CRASTI

B. ZANDER

POR. A. FOGT

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

BILETY WIZYTOWE.

ułożył Jerzy Mierzejewski.

BARON A. RÓG-DĄWICZ

P. DALESKI - BOLSKI

JAN BURA - PADACKI

DR. I. KUNIESKI

W jakich miastach (w kraju) mieszkają ci panowie?

NAGRODY

Za rozwiązanie biletów wizytowych z niniejszego N-ru przeznaczamy nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych do rozlosowania. Rozwiązania nadsyłać należy pod adresem redakcji do dnia 16 października b. r.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z N-ru 35.

Kwadrat magiczny.

K W A S
W A T A
A T O M
S A M A

BILETY WIZYTOWE
FILATELISTKA

POSTERUNKOWY

AMBASADOR POLSKI

Podejrzany bilet wizytowy.

HOCHSTAPLER

F. Z. Głowacki rozwiązał ten bilet inaczej: postrach Hel.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z N-ru 35 otrzymują (w wyniku losowania) pp. Helena Nowakowiczówna, Pińsk, ul. Bernadyńska 36; Aleksander Kostyrka, Brześć nad Bugiem, ul. Krzywa 21; kpt. Knauer Aleksander, Lwów, ul. Dwernickiego 11-a. Irena Szmajowa, Ostrów Poznański, ul. Kaliska 21. Marja Pawłowiczówna, Brzeżany, ul. Izabelówka 27.

NAGRODĘ

za rozwiązanie 2-ch biletów wizytowych (dyrektor piekarni mechanicznej, inspektor kontroli skarbowej) otrzymuje w wyniku losowania p. Czesław Kozłowski z Warszawy.

NAGRODY

W wysyłce nagród za ostatnie 2 tygodnie nastąpiła zwłoka, za którą przepraszamy zainteresowanych Czytelników. Nagrody zostały już wysłane, względnie są do odebrania w lokalu redakcji.

NOWOCZESNE OŻYWIANIE CERY.

Uświadamianie mas *drogą poczytnych pism*, to oświetlanie tajemnych dróg, kędy najłatwiej dotrzeć do światła wiedzy. Ale ono ma wówczas znaczenie praktyczne, jeśli nie gmatwa się w teorjach, nie nasyca jeno ciekawości w kierunku opisu zdobyczy lekarskich, ale — *daje możność stosowania skutecznych zabiegów samodzielnie tym*, którym nie jest dane korzystanie z zabiegów u lekarza. Do odmładzania cery stosują lekarze diatermię, celem *przegrzania skóry*, tudzież zastrzyki surowicy. Oba te czynniki dostępne są w domu, albowiem istnieje preparat, który przy ocieplaniu skóry zaopatruje ją w ożywcze składniki. Jeśli *ożywczym* KREMEM „OXA" D-ra LUSTRA powleczemy twarz, a po 10 minutach spłókiwać będziemy długo gorącą wodą lub naparzymy natłuszczoną twarz kremem „OXA" nad parą przez 5 minut, zauważymy po szeregu takich zabiegów znaczne ożywienie cery, o ile efekt nie bywa zacierany szkodliwemi kosmetykami, szczególnie pudrem metalicznym. Jedyny puder, który śmiało polecić mogę, jest — *egzotyczny z przepisu D-ra Lustra.*

Dr. Z. B.

Inauguracja sezonu w „Ziemiance" i „Europejskiej"

Rys. Dobrzyński.

Dawno się nie widziały...



Witam panią...



Jak pani świetnie wygląda...



Pamięta pani pannę Z.?!..



Boże! z tym idjotą...



Jesienny wiaterek, czyli wspomnienia urlopowe



Ja temu smarkaczowi z Krynicy kości połamię!..



Panie po powrocie z odtłuszczającej kuracji o 1-ej w Ziemiańskiej (na „nachkur").

JAN AUGUSTYNOWICZ.

Panna Mańcia Kogutek i pan Wojtuś Kokoszka

Panna Mańcia Kogutek miała „pion" w sobie i zupełnie niedwuznacznie garnęła się do wyższej racji istnienia, choć po ucieczce z prowincji do Warszawy, korzystając w braku pieniędzy z suterenowej gościnności ciotki i pociota, musiała prać, zamiatać, latać na targ i do sklepiku, pitrasić z ciotką i cerować wieczne dziury w niby całem. Poza marzeniami i tęsknotami rozporządzała twarzą w guście męskim, włosami garsonki, smukłą postacią, kształtnym dużym gorsem, wdzięcznemi biodrami i zgrabnemi rękami i nogami. Wzdychała panna Mańcia. Samochód, kino, czekoladki, biała kawa z kremem, ciastka, jedwabne pończochy, lakierki, batystowa kombinezka, jedwabna sukienka, płaszczyk z futerkiem, srebrne, jeśli już nie złote, kolczyki... Bardzo wrażliwą duszę posiadała panna Mańcia i płomienne myśli rozżarzały jej bez przerwy ową duszę. Co zaś do serca...

Walek, Kuba, Stasiek, Józek, Franek, Witek, Bronek, Stefek, Pietrek — ktoby ich tam zresztą zliczył — z tego samego podwórka czy z pobliskiej fabryki czy skąd... Ale choć każdy z nich miał „coś" — nie mieli w sumie nic, czy prawie nic: wiadomo — golcy i tyle. A tu marzenia... I żaden z nich nie był szoferem, według zaś przekonania panny Mańci — najwyższa męska klasa— to szoferzy, bo któż inny jeździ ciągle samochodem i tak po kawalersku, że aż ludzi i psy przetrąca? Ponosiło pannę Mańcię. Gdyby choć odrobinę szofera... Szofer ma stale pieniądze — swoje albo cudze (od czego liczniki?), szofer jest zawsze szlachetnie odkarmiony i „zalany" (ale nie jak pociot po chamsku), szofer ma najśmielsze oko i najbystrzejszy słuch (nie widzi i nie słyszy nigdy tego, czego nie chce). I nikt tak, jak szofer, nie umie lecieć na dziewczynkę...

* * *

Zdarzyło się właśnie pewnego razu cudownie, że siarczysty *brunet* — szofer przejechał nieszkodliwie pannę Mańcię. Naturalnie: więcej strachu niż bólu. A przejechawszy, odwiózł ją ślicznie nie do jej mieszkania (nikczemnej sutereny!), lecz — dla „odstrachania się" dzieweczki — do samego Wilanowa. Szofer? Prawdziwy szofer! I brunet (czysta smoła!) i mocny (jak ściskał), i gorący (jak całował!) i szczery (jak fundował!), i szlachetny (czego nie naobiecywał!) i piorunem wierny (jak przysięgał!).

Wojtuś Kokoszka... Sam los chciał: Kokoszka z Kogutkiem i wspaniale naodwrót, więc jeszcze wspanialej. Do samej nagłej i niespodziewanej albo i zwyczajnej śmierci, mogłaby naprózno szukać męskiej kokoszki, a tu taki traf. O, anieli...



Mańcia — (Wallace Beery)

Spełniły się wszystkie marzenia i tęsknoty. I czy nie głupia była ciotka, mówiąc tyle razy, że tylko idjoty „się rozmazują" i czy nie durniem pociot, urągając, że tylko osły i oślice „sobie tęsknią?"

Radośnie drgało serce panny Mańci. Z lubością oglądając swoje już „manikirowane" paznogcie, stwierdzała pewnik, że prócz szofera, ma i lakierki i jedwabne pończochy, i batystową kombinezkę, i jedwabną bluzkę, i ładną spódniczkę, i płaszczyk choć bez futerka (była już przecież wiosna), i białą kawę z kremem, i ciastka, i czekoladki i kino. A co mogło kogo obchodzić, że Wojtuś okradał właściciela taksówki, podłego tłustego burżuja, i że oszukiwał pasażerów na liczniku? I czy ona będzie za niego w piekle siedziała, jeżeli jest wogóle, jak klechy o tem brzęczą, jakieś piekło?

Tu zaś był raj. Prawdziwy raj. Panna Mańcia już dawno plunęła na obskurną ciotkę i obskurnego pociota i na ich przebrzydłe bachory i jak uciekła kiedyś od rodziców, tak teraz uciekła od nich. Żyła ze swoim szoferem. Zadawała szyku. W Alejach Ujazdowskich albo w Alei Trzeciego Maja albo w Saskim. W Ujazdowskim też. I w Łazienkach. I w Skaryszewskim. I na Nowym Świecie. I na Krakowskiem. I na Marszałkowskiej. To przynajmniej życie!

Kochał ją jej Wojtuś, że aż ojej. Mało jej żeber nie łamał i wszystek puder z twarzy i pomadkę z ust zjadał. I chwalił: „Ty Mańka, jesteś więcej niż Kogutek. Jesteś łabędź. Czy rozumiesz? Jak w Saskim, albo w Ujazdowskim, albo w Łazienkach, albo w Skaryszewskim. A gorąc masz w sobie taki, że żadnej benzyny nie potrzeba. Fest mi się udałaś! Byłaby z ciebie hrabina, gdybym ja był hrabia. Pamiętasz, jak śpiewał ten stary frajer w „Podbitem oku", kiedyśmy tam w trzecim rzędzie krzeseł siedzieli: „Panno Marjanno, panno Marjanno, gdybym był wielkim panem"? Co dalej, bo nie pamiętam akuratnie? Aha, zdaje się: „tobym panience, tobym panience kupił parówek z chrzanem?" Tamten dopiero chciał, gdyby był wielkim panem, kupić swojej Mańce parszywych kiełbasek, a ja, choć nie jestem wielkim panem, kupiłem ci tyle rzeczy i funduję ci ciągle, boś mi się tak właśnie udała!

W upojeniu tonęła panna Mańcia. Czy szoferzy — to nie najlepszy „naród"? Czy Wojtuś Kokoszka — to nie przemiły smok?

— — — — — — — — — — — — — — — —

Prażyło słońce, śmiało się niebo, turlał się w powietrzu wiaterek, chłodzący spocone ciała, spocone odczucia i spocone serca i dusze. Było nadzwyczajne święto, bo zwykła niedziela. Ale z Wojtusiem. Ale z roladą z prosięcia i z najlepszym boczkiem. Ale z wódką i z piwem. Ale z czereśniami i z najdroższą czekoladą. Ale z całą furą ciastek. Ale z extra-papierosami.

Rozkosznie wyciągnięta na trawce pod krzaczkiem, słuchała panna Mańcia niedalekiego szczebiotu ptasząt i najbliższego pana Wojtusiowego.

— Wojtuś... mój, mój... — Kurczowo zaciskały jej się ręce wokół tęgiej szoferskiej szyi. — Jak ja cię kocham, Wojtuś! Dałabym się porąbać za ciebie, żebym ino mogła potem się zrosnąć. Śniło mi się dziś w nocy, że jesteś cesarz szoferski. Paliło me we wnętrzu, żeby cię znów zobaczyć, — no, to cię widzę. Majówka na fest, mój ucacany!

— No, Mańka, likier jeszcze — przypomniał sobie pan Wojtuś.

Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Pan Wojtuś odkorkował i nalał.

— A te sto złotych, coś obiecał na podwiązki i nową kombinezkę? Reszta, wiadomo, na cukierki.

— Poczekaj, niech tylko przygolę frajerów. Boginią z księżyca cię zrobię, a później pojedziemy na słońce.

— Taksówką?

— A czem, głupia?

Utonęli w nowem wbłękitowzięciu.

— Wojtuś, bo naprawdę połamiesz mi żebra — przestraszyła się panna Mańcia.



...Walek, Kuba, Stasiek, Józef, Franek, Witek, Bronek, Stefek, Pietrek — ktoby ich tam zresztą zliczył... (Petef)

— Nie bój się. Wprawię ci nowe, choćby z samego złota.

Przymknęła oczy. Błogość rozlała jej się pod powiekami. Z samego złota... Jaki szczodry!

Panu Wojtusiowi rozjarzyły się źrenice. Wstrząsnął panną Mańcią kilkakrotnie.

— Mańka! przysięgasz, że mię będziesz zawsze kochała? Mańka, słyszysz?

— Na wieki wieków amen, Wojtuś. A nie zapomnij o tych stu złotych — uśmiechnęła się anielsko. — Daj jeszcze likieru, bo pyszny. Czy już niema czereśni? O, jak ja cię będę zawsze kochała! Ale jak mi kupisz nową sukienkę, to koniecznie z lepszego jedwabiu, bo ta z trochę drańskiego, prędko popęka...

— Z trochę drańskiego — za sto dziesięć złotych? — oburzył się pan Wojtuś.

Przygarnęła go do siebie...

— Z trochę drańskiego, Wojtusiu, cóż robić? A ciastka — czyśmy już wszystkie zjedli?

Łaskawie popatrzało na nich słońce i uprzejmie ocierał się o nich zefirek. Świat jest dobry.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Co?! — wrzasnęła panna Mańcia, powróciwszy pewnego dnia ze spaceru w Skaryszewskim. Właśnie w nowej, jedwabnej sukience, w nowych pończochach i lakierach i w nowym kapeluszu. — Zabrali do paki mojego Wojtusia? Za co?!!

Sąsiadka kiwała głową.

— Wiadomo, za grandę. Do czasu dzban, moja panno! Udał się pannie ten Wojtuś. Kradł na liczniku, jak huncwot, a dziś okradł pasażera.

Zzieleniała biała twarz (extraryżowy puder) i zbladły karminowe usta (pierwszy gatunek pomadki) panny Mańci. Zatrzęsły jej się nogi, omdlały biodra. Ale rychło przyszła do siebie. Bo i co pomógłby choćby sam paraliż, skoro nic się już nie odstanie?

— No, tak. Pani masz rację, moja pani — westchnęła panna Mańcia. — Zawsze mówiłam, że zamało chrześcijanin. Trzeba przecie mieć dryg w szpiku. A tak dać się nakryć z kośćiami i z forsą? Nie przez tego, że naprawdę w piekle smażyć się będzie. Idjota!

— I cóż panna teraz? — skoszlawiła oko sąsiadka.

— Mam go pod siódmem żebrem od podszewki na powietrze! Mało to szoferów i lepszych? Choćby Felek z Woli. Brunet także, fajny i składny, a mądry! Czy go nakrył kiedy jaki śmieciarz, choć Felek tak kryminałem oddaje, jak nie przymierzając ja perfonami? Jeszcze wczoraj skamlał mi w ucho, kiedy Wojtek nie patrzał: „Mańka! Kiszki mi się przez ciebie przewracają, a wątroba podłazi do gardła. Cóż to? Będę jadł własną wątrobę i trawił przewróconemi kiszkami? Pamiętaj, że choć lecę na różne, to i na ciebie przecie też. Ściskam nie gorzej od Wojtka i bryzgam forsą, jak taksówka błotem, Mańka"! I prawie chciał mi odgryźć ucho z wielkiego apetytu, a w sobie go tak trzęsło, jakby miał zieloną frybrę (jest taka frybra). Strasznie, jak pani widzi mu potrzebna, no, to kiedy się już tak złożyło, niech będzie mój. Bo ja chcę tylko szofera, choć szofery paskudnie zazdrosne. Bo moja pani, jak szofer funduje, kupuje i forsę daje! A i ognia, łobuz, skoro tak, musi mieć tyle, ile potrza, żeby i za innych starczyło!

Co słychać na świecie?

(Dokończenie ze str. 6)

du, nacjonaliści Heimwehry. Nietrudno sobie wystawić, jak uciążliwą być musi rola szefa rządu związkowego, naciskanego z obu stron przez partje zorganizowane i gotowe do wojny cywilnej. Panu Steernwitz brakowało powagi osobistej, czuł grunt usuwający się pod nogami, to też w chwili, gdy trzeba było przystąpić do przedstawienia Zgromadzeniu Narodowemu projektu zmian konstytucyjnych, postanowił raczej usunąć się, aniżeli narazić losy republiki na nieuniknione wstrząsy antagonizmów socjalnych. Następca jego p. Schober, dotychczasowy prezydent policji wiedeńskiej, jest człowiekiem silnym, energicznym, czego dał dowód przed dwoma laty, uspakajając zaburzenia w Wiedniu, może się więc łatwiej wywiązać z oczekujących go zadań.

W Czechosłowacji sprzeczności stanowe agrarjuszy wielkorolnych i ludowców małorolnych doprowadziły do rozsadzenia bloku ósemki rządzących (nieczytelne). Tendencja autonomistów słowackich z jednej strony, a opozycji socjalistycznej z drugiej, uniemożliwiły wszelkie przekształcanie bloku: znalazło się więc tylko jedno jedyne wyjście: odwołanie się do woli ludności. Czy jednak jest to istotne wyjście z sytuacji, okażą niebawem, bo w końcu miesiąca, nowe wybory.

Dr. J. G.

Ciekawe dowodzenie

Że profesor literatury francuskiej w Sorbonie, znakomity znawca, zwłaszcza literatury osiemnastego stulecia, a syn polskiego emigranta, Fortunat Strowski, nie zasklepił się w swoim przedmiocie, lecz bada również i inne objawy działalności ludzkiej, dowodem tego jest artykuł jego o gimnastyce na łamach dziennika paryskiego „Comoedia".

Podczas niedawnego pobytu w Stanach Zjednoczonych, prof. Strowski zainteresował się amerykańskim systemem nauki gimnastyki i poznawszy jej zasady, zwłaszcza w nowojorskim uniwersytecie Columbia, doszedł do ciekawych wniosków:

„Niema — pisze — amerykańskiej „rasy", ani też amerykańskiego „narodu". Ludność Stanów Zjednoczonych składa się całkowicie z „typów" europejskich: włoskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, polskiego, skandynawskiego, greckiego, żydowskiego. Trzeba było wytworzyć z tych różnorodnych żywiołów „typowego" Amerykanina i uczynić z niego „typ", przewyższający wszelkie inne".

„Gimnastyce amerykańskiej powiodło się dokonać tego doskonale. W rewjach zespołu „Ziegfeld Follies" widzimy po pięćdziesiąt i sto dziewcząt *(girls)* najzupełniej podobnych, typu amerykańskiego. To samo tyczy się młodzieży męskiej. Różnorodność indywidualna zmniejsza się i zanika. Ćwiczenia fizyczne (nie dobór) stworzyły „rasę" zdrową, piękną, jednolitą".

„Ćwiczenia te są doglądane i skoordynowane według zasad stałych, na podstawie doświadczenia fachowców i wiedzy lekarskiej".

„Gdy student wstępuje do zakładu gimnastycznego, to podlega zmierzeniu, zważeniu, opukaniu. Jeżeli posiada ramiona opadające — odsyłany jest do odpowiedniego oddziału; jeżeli ma klatkę piersiową płaską — do innego. Klasyfikują go stosownie do wytrzymałości serca i stanu mięśni".

„I oto po kilku miesiącach doprowadzony jest do stanu normalnego, o ile na to pozwala organizm ludzki".

„Byłoby przedwczesnem myśleć o zaszczepieniu tego systemu u nas (oczywiście, prof. Strowski mówi o Francji, ale uwagi jego mogą być także doskonale zastosowane do Polski). Musielibyśmy najpierw pobudować odpowiednie zakłady gimnastyczne, wychować w tym kierunku sztab nauczycieli i lekarzy, a zapewne również zmienić nasze zwyczaje. W każdym jednak razie możemy zmierzać w tym kierunku — pod pewnemi warunkami".

Tu prof. Strowski porusza sprawę, na którą u nas zwraca się jeszcze za mało uwagi.

„Pierwszym i najpoważniejszym — powiada — z tych warunków jest dostosowanie programu nauki szkolnej do godzin gimnastyki. Nie należy dodawać pracy fizycznej do pracy umysłowej. Całkowita suma wysiłków i zmęczenia musi być stała".

„Dawniej wychowawcy przypuszczali, że ćwiczenia fizyczne są odpoczynkiem po wysiłku umysłowym".

Zapatrywanie to jednak okazało się zbędne.

„Przekonałem się o tem w Nowym Jorku. Opuściliśmy salę gimnastyczną o godz. 11-ej nieco zmęczeni (nigdy nie *wymęczeni;* instruktorowie czuwają nad tem). Gdybyśmy wówczas dodali do tego zmęczenia jeszcze najmniejszy choćby wysiłek umysłowy, to bylibyśmy wyczerpani. Odłożyliśmy tedy taki wysiłek do popołudnia".

„Poza programem właściwym, musimy też mieć nauczycieli właściwych, którzy powinni pamiętać głównie o tem, że zadaniem ich nie jest rozwijanie mięśni swych uczniów. To już rzecz specjalnych sportów. Ich obowiązkiem jest tworzenie doskonałych typów. Harmonja proporcji ciała, oczyszczenie krwi, łatwy i regularny oddech, giętkość całego organizmu — oto ich sprawa. Muszą być hygienistami lub znajdować się pod kontrolą hygienistów. Muszą zwracać uwagę na djetę, ustalać długość snu, przepisywać ćwiczenia, czasami nawet wtrącać się do zwykłego trybu życia, zwłaszcza szkolnego".

S. B.

OD REDAKCJI

Mając na względzie wzmagające się zainteresowanie konkursem „Najpiękniejsze Dziecko Polskie" i wobec licznych zgłoszeń ze strony naszych Czytelników, postanowiliśmy przedłużyć termin konkursu

DO 1-go LISTOPADA.

Korzystamy ze sposobności, by ostrzec Czytelników nadsyłających obecnie swe głosy, gdyż przed ogłoszeniem plebiscytu nie będą one brane pod uwagę.

DAWID FRYDMAN. (2)

Mendel Maranc

Przełożył z ros. Mieczysław Birnbaum.

Zelda dowiodła w ten sposób naocznie mężowi, że jej obecność i praca odgrywały nie małą rolę w jego życiu codziennem. Ale czy on w to wątpił? Co co jej były aż takie dowody.

— Zeldo, szklankę herbaty — mawiał zwykle, i natychmiast zjawiała się gorąca herbata.

— Zeldo, przeciąg. Zamknij okno! I natychmiast znikał przeciąg.

— Zeldo! — wołał na żonę, przeciągając się w fotelu. I...

Ale pocóż się dręczyć tem, czego już więcej niema?

Po powrocie z pracy do domu Zelda, zamiast spodziewanej kolacji, zastała okropny nieład.

Wszystkiego narobiły, rozumie się, dzieci. Kot siedział na stole, Dżekki leżał pod stołem, a Lena przyciskała go nogą. Semmi miał podbite jedno oko: to Sammi rzucił w inego spodeczkiem. Wszystko było przewrócone do góry nogami. Stoły kuchenne i stołki stały w jadalni, poduszki tarzały się w kuchni...

A Mendla nigdzie nie było widać.

— Gdzie ojciec? — surowo zapytała, uspokoiwszy przedtem dzieci kilkoma klapsami. Wszystko przewrócone jest do góry nogami. On z pewnością przez cały dzień niczego się nie dotknął. Boże drogi, zwarjuję z takim mężem!...



...Zeldo szklankę herbaty...

Przeraźliwy brzęk spadających na podłogę naczyń zmusił Zeldę do rzucenia się do kuchni. Mendel, opierając się jedną nogą o muszlę umywalki, a drugą o blachę kuchenną, szukał czegoś na półce.

— Czego tam szukasz?! — wrzasnęła, czerwieniąc się ze złości.

Mendel odwrócił ku niej głowę.

Odsapnął i wreszcie wyrzekł:

— Jodyny...

— Jakiej jodyny? Po co jodyny? — zapytała. Krzycząc jeszcze na niego, zaczęła się jednak niepokoić.

— Pokaleczyłem się trochę, — wyjaśnił, nie ruszając się z miejsca. Palec jakoś wpakowałem w maszynkę do mięsa.

— Och, Mendlu, jaki z ciebie niezdara! A co to za woda i gałgany na podłodze?

— Chcę położyć kompres na nogę. Pośliznąłem się, i zrzuciłem fajerkę gazową i zwichnąłem sobie nogę. Zupa była bardzo dobra, ale gorąca. Może masz jaki środek od oparzenia?

Zelda jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

— Czego łazisz po ścianach? Kładź się do łóżka. Niepodobny przecież jesteś do ludzi!...

Westchnęła ciężko, kiwając głową.

— Nic dziwnego, przecież on jest mężczyzną — rozumowała. — Czego się po nim można spodziewać?

Pogderała jeszcze, ale zaczęła już pieczołowicie opiekować się nim.

— No i co? Wynalazca, a nie umiesz nawet zapalić kuchenki gazowej. Człowiek, który dla samego siebie nic zrobić nie może, tembardziej innym nie pomoże.

A po chwili milczenia zauważyła:

— Możebym lepiej w domu została.

— Może... — mruknął!

Zelda nie wiedziała, co dalej powiedzieć.

— A co będzie, jeżeli ja zostanę w domu? — zapytała.

— Będzie lepiej.

— O tem sama wiem. Ale co do ciebie?

— Wyzdrowieję.

— No i co?...

Spodziewała się, że nietylko wyzdrowieje, ale i poprawi się.

— Jeżeli wyzdrowieję, to będę zdrów. Czem jest zdrowie? Ogrodem. Czem choroba? Grobem. Czem jest dobra żona? Ogrodnikiem. A zła żona? Grabarzem...

— On się nigdy nie poprawi, — pomyślała, machnąwszy ręką. Wreszcie zdecydowała:

— Nie taki zresztą djabeł straszny. On od tego nie umrze, a my też będziemy żyli. On będzie się przyzwyczajał do pracy, a ja będę utrzymywała rodzinę.

I poszła nazajutrz do pracy...

II.

Doświadczenie Zeldy nader ujemnie odbijało się na Mendlu, jeszcze gorzej na Sarze, a najgorzej na samej Zeldzie. Ale czas osłabiał protesty Mendla i dodatnio wpływał na jego pracę. Zelda zdumiona była, że Mendel się zmienia i przyzwyczaja do nowych warunków. Napawało ją to poprostu lękiem. W rzeczy samej nigdy nie myślała, by to radykalne doświadczenie mogło długo trwać. Przekonana raczej była, że Mendel z każdym dniem będzie coraz energiczniej protestował, aż nie oświadczy:

— Zbrzydła mi już ta niewola. Wolę już pracować...

A on natomiast polubił, jak się wydawało, gospodarstwo. Zeldzie zostawało po powrocie do domu coraz to mniej pracy. Wprawdzie jego praca robiła wrażenie pracy nieporządnej, niedbałej. Szorował, naprzykład, naczynia szczotką, a potem je dopiero zmywał. Śmieci zmiatał pod stół. Zupę gotował w kawiarce, a podłogę wycierał jakąś spódnicą albo bluzką.

Mimo to jednak, w miarę, jak Mendel udoskonalał się w pracy swej, Zeldę ogarniało coraz większe przygnębienie. Chwilami brała ją wprost zazdrość.

— Złodzieju! — zdawała się wołać. — Wynoś się z mojej kuchni. Daj mi tu mój fartuch i nie dotykaj się więcej mojej roboty!

Była bowiem obecnie w domu nie więcej, jak lokatorem, którego tolerują o tyle, o ile punktualnie płaci za mieszkanie i utrzymanie. Dzieci widziała tylko wieczorami, przytem tak uważnie przyglądały się matce, jakgdyby z trudem ją poznawały.

Przy stole dzieci zwracały się tylko do ojca.

— Tatusiu, Semmi zabrał mi łyżkę!

— Więc weż jego łyżkę, — pouczał Mendel.

— Tatusiu, chcę jeszcze mięsa.

— Weź moje...

— Tatusiu, Lena zabrała mi chleb.

— To jej odbierz...

— Zupa gorąca... nie mogę jeść, — skarżył się Dżekki, pokazując ojcu oparzony język.

— Dolej sobie wody z kranu, — radził ojciec.

Zelda czuła się przy stole, jak obca. Dzieci nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Spróbowała się wtrącić w rozmowę.

— Nie lej wody do zupy, Dżekki. Lepiej podmuchaj...

Ale chłopiec zsunął się z krzesełka, nie zwracając uwagi na matkę, odszedł od stołu i po chwili wrócił rozradowany, niosąc filiżankę zimnej wody.

Wiedziona macierzyńskim instynktem zaprotestowała:

— Nie wolno! — krzyknęła, gdy chłopiec przechylał filiżankę do zupy grochowej.

Ale chłopiec spojrzawszy na ojca, śmiało wlał wodę do zupy.

Zelda uderzyła go w rękę. Filiżanka wyleciała mu z rąk i potoczyła się po stole. Wywołało to przykre milczenie. Dżekki rozpłakał się. Podbiegł do ojca i ukrył mu twarz w kolanach. Lena zaczęła też współczująco popłakiwać.

Coś aż ścisnęło Zeldę. Momentalnie straciła apetyt. Podniosła się od stołu, poszła do sypialni i zamknęła się tam na klucz.

Nie chciała, żeby ją widzieli płaczącą.

Wszystko wypadło zupełnie inaczej, niż przypuszczała. Zamiast zmusić Mendla do pracy, sama znalazła się, jak na jakiem zesłaniu. Gdyby tylko można było wszystko odwrócić! Próbowała namówić męża.

— Mendlu, będę znów pracowała w domu, a ty będziesz sobie przesiadywał na kozetce, będziesz mógł patrzeć przez okno z założonemi rękami i marzyć o swoich wynalazkach.

Ale Mendel pokiwał odmownie głową.

— Za ciężko ci będzie, — powiedział z galanterją.

— To nic, Mendlu, dam sobie radę.

— Ale szkoda mi cię będzie.

— Prędko się przyzwyczaisz.

— Nie! Praca domowa — nie jest dla kobiety. Mazora powiada: „Bądź dobrym dla żony twojej i karm dzieci swoje". To znaczy, że mąż powinien sam uprzątać mieszkanie i szykować obiad dla dzieci. Czem jest żona? Żołnierzem. Jej miejsce jest na polu bitwy. A czem mąż? Generałem Powinien przesiadywać w domu.

(Dokończ. nast.).

Na tropie „Pana z grubą głową"

„Łatwiej jest zabić najdziksze i najniebezpieczniejsze zwierzę, aniżeli je sfotografować — pisze w swoim pamiętniku jeden z uczestników myśliwskiej wyprawy w głąb Afryki, M. Radclyffe. Jednakże fotografja sprawia nam więcej satysfakcji i darzy nas niespotykanemi dotychczas wrażeniami i emocją".

Pół roku temu państwo Cron z New - Jorku, zawołani myśliwi, postanowili zorganizować wyprawę na lwy, przyczem jedną z najważniejszych zdobyczy, które mieli przywieźć do domu, miały być zdjęcia fotograficzne, robione z dzikich mieszkańców puszcz afrykańskich w stanie „au naturelle". Zamysł ten śmiały w swojem założeniu przeprowadzili z uporem, tak charakterystycznym dla Amerykanów, do końca. Piękne trofea, w postaci klisz fotograficznych wyświetlanych z brawurową zuchwałością, ozdobiły zbiory dzielnych małżonków. Wyprawa narażona na niebezpieczeństwa jakie nastręczała im zazdrosna o swe tajemnice przyroda, brodząc wśród obszarów nawiedzionych przez roje komarów, niosących malarję i żółtą febrę w dokuczliwych ukłóciach swych drobnych żądeł, borykając się z żywym murem roślinności podzwrotnikowej, wśród, której wyrąbana wieczorem ścieżka, zarastała na rano gęstemi sieciami wijących się ljan, przedostała się po wielu tygodniach nad dorzecze górnego Kongo, gdzie w okolicach olbrzymiego jeziora Tanganyika rozpościera się prawdziwe królestwo zwierzyny.

Karawana rozbiła namioty na krótki odpoczynek, poczem z juków niesionych przez gromadę tragarzy wydobyto aparaty fotograficzne, a poszukiwacze ścieżek rozbiegli się po okolicy, wyszukując śladów „Pana z grubą głową". Z chwilą wytropienia śladów lwa, rozpoczynała się ryzykowna wyprawa, do której tragarze i posługacze wcale się nie kwapili. Państwo Kron wyruszali tedy we dwójkę uzbrojeni w aparaty... no i dla wszelkiej pewności w Winchestery. Cała trudność takiego polowania polegała na stwierdzeniu, gdzie w danej chwili znajduje się zwierzę, podejściu do niego od strony przeciwnej do wiejącego wiatru, podsunięciu się jak najbliżej do fotografowanego klijenta, ustawieniu aparatu, wyczekaniu (i to wymagało najwięcej zimnej krwi) żeby lew zrobił jaknajbardziej „przyjemny wyraz twarzy", pstryk, jedno zdjęcie, dwa trzy, poczem odwrót z zachowaniem tych samych środków ostrożności. Łatwo jest o tem pisać lub czytać, trudniej natomiast wykonać.

Ileż to razy podejście do upatrzonego miejsca, okazało się niemożliwe z powodu, że zwierzę było rozdrażnione, objawiając swój stan psychiczny groźnemi pomrukami lub rykiem. Ileż to razy lew, ujrzawszy niespodzianie zbliżającego się intruza, z dziwacznym przedmiotem w ręku, rzucał się, by zapoznać się bliżej, nie tyle z aparatem, ile z mięsem ludzkiem. Nie rzadko zdarzało się, że aparat, razem z drogocennemi zdjęciami stawał się pastwą potwora, który widocznie nie był zadowolony ze zdradzenia swej intymnej strony życia.

Pan Radclyffe ma rację, że takiej emocji dotąd żadny myśliwy nie przeżywał. Emocja, której stawką jest odbitka fotograficzna lub życie.





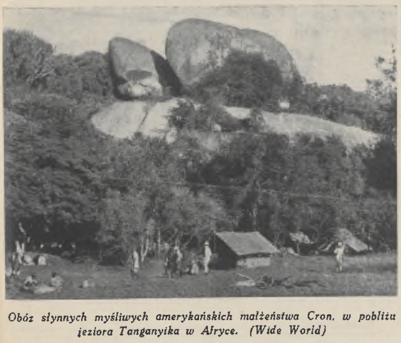
„Król pustyni" podczas poobiedniej uczty obserwuje z wysokiej skały swe siostrzyce zabierające się do smakowitej uczty. (Wide World)



Polowanie dla fotografji jest połączone nieraz z dużem niebezpieczeństwem. (Karykatura H. Robinsona).



„I krok w krok... Krew mrożąca w żyłach przygoda podróżnika - fotografa .(Karykatura H. Robinsona).



Obóz słynnych myśliwych amerykańskich małżeństwa Cron, w pobliżu jeziora Tanganyika w Afryce. (Wide World)



Piękna zdobycz myśliwego amerykańskiego mr. Crona, w krainie lwów, nad jeziorem Tanganyika. (Wide World)

„Śpiewak ulicy"

Po długiem wyczekiwaniu wreszcie i Warszawa zapoznała się z autentycznym filmem dźwiękowym. Na pierwszy ogień poszedł film wytwórni Warner Brothers p. t. „Śpiewak ulicy". Strona wizualna



Al. Jolson i Sonny Boy

filmu stoi na poziomie wysokim. Scenarjusz niezbyt oryginalny, lecz i nie banalny został wyreżyserowany bardzo starannie, poszczególne sceny są realizowane z nieprzeciętnym rozmachem. Szwankuje chwilami jedynie technika zdjęć.

Obsada filmu jest wielce interesująca. Bohater filmu — Jolson, niewątpliwie osiągnąłby wielki sukces nawet w filmie „niemym", — jest to aktor o zdolnościach bardzo wielkich. Głos Jolsona posiadający jakiś przedziwny urok nawet w mowie potocznej, wznosi jego kreację do poziomu wrażeń artystycznych, dotąd nam zupełnie nieznanych.

Aparatura dźwiękowa, funkcjonująca w kinie „Splendid" doskonale, oddaje z zupełną ścisłością wszystkie intonacje głosu, zachowuje jego ciepło i barwę. Kulminacyjnym momentem filmu jest piosenka „Sonny — boy", — melodja od dnia premjery „Śpiewaka ulicy" najbardziej w Warszawie popularna.

Djalogi, prowadzone w języku angielskim z twardym akcentem amerykańskim są dla naszej publiczności chińskiem kazaniem, sytuację ratuje tłomaczenie polskie dyskretnie wyświetlane na ekranie. Z prawdziwą wartością kina mówionego, publiczność nasza zapozna się dopiero wówczas, gdy ukaże się pierwszy polski „talkie".

Wnosząc ze sobą nowe wartości, nowe wrażenia, film mówiony przyniesie niejedno rozczarowanie. Naprzykład, urodziwa Josephine Dunn ma głos fatalny.

Ogólne wrażenie — bezsprzecznie dodatnie. Film będzie miał długotrwałe powodzenie.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

6 N. Brunona
7 P. N. M. P. Różańcowej
8 W. Pelagji
9 Ś. Dyonizego
10 C. Franciszka
11 P. Placydy
12 S. Maksymiljana

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	z.	*Księżyc* w.	z.
5.44	17.06	10.22	18.42
5.46	17.03	11.39	19.06
5.48	17.01	12.49	19.30
5.49	16.50	13.52	20.20
5.51	16.56	14.41	21.18
5.52	16.54	15.18	22.25
5.54	16.52	15.44	23.32

TEATR

WIELKI

dn. 3 b. m. Poławiacze Pereł
dn. 4 b. m. Halka
dn. 5 b. m. Balladyna
dn. 6 b. m. Faust
dn. 7 b. m. nieczynny.

MORSKIE OKO

Rewja p. t. Coś dla każdego.

OPERETKA REPREZENTACYJNA

Księżna Chicago.

NARODOWY

Codziennie: „Wiosna Narodów".

LETNI

Codziennie: „Proces Mary Dugan".

POLSKI

Codziennie: „Artyści"

MAŁY

Codziennie: „Koniec Pani Cheyney".

ELIZEUM

Codziennie: „Mirla Efros".

QUI - PRO - QUO

Rewja p. t. „Kochajmy się".

KINO

Splendid: „Śpiewający Błazen" z Al. Jolsonem.
Wodewil: „Bezbożne dziewcze".
Światowid: „Panienka z objektywem" z Bebe Daniels.
Casino: „Mocny człowiek".
Apollo: „Mocny człowiek".
Palace: „Asfalt" z Betty Amann.

Układy fotograficzne i rysunki wykonał L. Chejfec.

„MYDŁO A PIĘKNOŚĆ", „MYDŁO A KOSMETYKA", „MYDŁO A POSTĘP".

Rozwodzić się w naszej epoce o mydle wydaje się conajmniej dziwnem. Jednak, jeżeli propaganda za używaniem mydła do mycia ciała należy już obecnie do zamierzchłej przeszłości, to, o ile chodzi o mycie twarzy mydłem, istnieją jeszcze dotychczas pewne powątpiewania i wiem, że wiele osób nie używa mydła do mycia twarzy. Jest to przesąd, który, rozumie się, ma swoje uzasadnienie, albowiem jeżeli skóra ciała świetnie znosi prawie każde mydło, to skóra twarzy nie odznacza się taką odpornością i często użycie niewłaściwego mydła wywołuje podrażnienie i czerwone plamy. Dlatego też cała nasza uwaga winna być zwrócona na właściwy dobór mydła. Mydło winno być spreparowane z dobrego zwierzęcego (nie roślinnego) tłuszczu, winno być neutralne (obojętne), bez nadmiernej zasadowości lub nadmiaru tłuszczu, nie powinno ono w razie dłuższego przechowywania zatracać swego koloru lub nabierać przykrego zapachu. W skórę bardzo wrażliwą na wodę i mydło polecam wetrzeć przedtem nieco tłuszczu (lanolina, mitina, encerina). Z mydeł krajowych z wyłuszczonemi wyżej zaletami dobrego i łagodnego mydła odznacza się mydło Ray o zawartości żółtka jaja kurzego, które chętnie polecam w mej praktyce prywatnej.

Dr. med. J. Kacew
Warszawa
specjalista kosmetyki lekarskiej.

Anatomja pleców

Plecy, jest to część ciała łącząca szyję z... nogami. Znajduje się ona z odwrotnej strony piersi. Używana była do najrozliczniejszych funkcyj. Już w zamierzchłych czasach historji, plecy służyły do okrywania się skórami dzikich zwierząt. Prócz tego niewolnicy musieli nosić na nich rozmaite ciężary. W średniowieczu używano pleców do wymierzania kar przestępcom, przyczem operacja ta nosiła nazwę „wypisywania cyrografu". Okres Ludwików zabłysnął w salonach białością niewieścich pleców, które odkrywane były do takiej głębokości, że aż w końcu sukiennicy włoscy i konstantynopolitańscy wnieśli przeciw temu protest. Dzisiaj plecy służą przedewszystkiem do zwalania odpowiedzialności, do noszenia ciężaru protestowanego obliga, oraz do zżymania w odpowiedzi na zbyt natarczywe żądania wierzycieli. Jedynie Ameryka wprowadziła inowację, organizując konkursy piękności pleców, co przynosi grube dolary ich organizatorom. Jak z tego widać, plecy są bardzo pożyteczną częścią ciała, mogącą przynieść wygodę i pieniądze zdolnym przedsiębiorcom.



Miss Rosita Dalmar, laureatka konkursu najpiękniejszych pleców Stanów Zjednoczonych. (New York Times)



Nuda i jednostajność życia na plaży w Palm Beach przerywana jest często rozlicznemi konkursami. Oto grupa zawodniczek konkursu pięknych pleców udaje się przed jury. (Wide World)



Demonstracja pleców przed jury, podczas konkursu. (New York Times)

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.